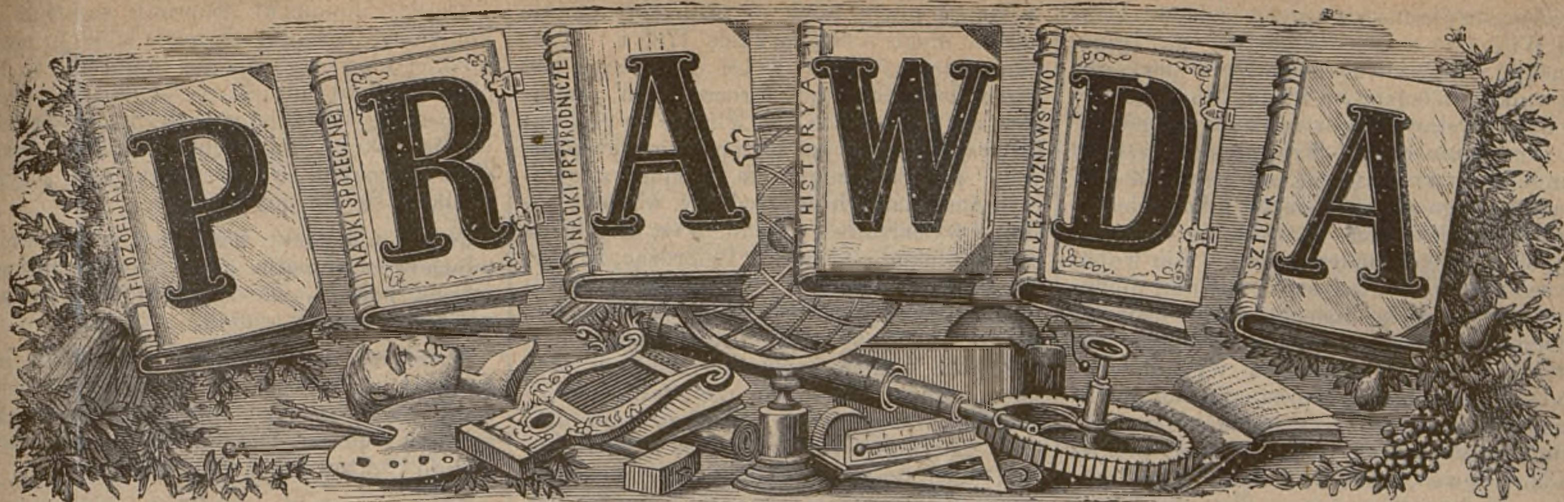
№ 14. Warszawa, dnia 7 Kwietnia (26 Marca) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CESARZ WILHELM
i jego panowanie.

Pojawienie się w Europie środkowej potężnego cesarstwa niemieckiego jest bezwątpienia najdonioślejszym wypadkiem politycznym drugiej połowy naszego stulecia. Na dzieło to złożyły się, jak zwykle, dwie grupy czynników: ludzie i zdarzenia. Te ostatnie grają niewątpliwie rolę wielką, podstawową; mieści się tu cały złożony wątek dziejów, istniejących w danej chwili stosunków kulturnych, społecznych, politycznych, narodowych, oraz panujące w danej epoce idee, prądy, pragnienia i dążenia. Ten bogaty jednak i rozległy materyał nie zupełnie sam się układa w pewne formy zgóry przewidziane, jak kryształy mineralogiczne; materyał urabiają ludzie, będąc sami główną jego częścią składową; im zaś stanowisko pewnych jednostek jest wyższe i krąg ich działania rozleglejszy, tem poważniejszą robota, tem donioślejszy rezultat ich pracy twórczej.

Myśl odrodzenia i zjednoczenia ojczyzny niemieckiej drzemała już dawno w łonie narodu, gdy zaś już dojrzewała, trzech mężów najskuteczniej przyłożyło rękę do jej urzeczywistnienia — zająwszy się przedewszystkiem zjednoczeniem, a odrodzenie pozostawiając pokoleniom i wypadkom późniejszym. Mężowie ci: Bismark, Moltke i cesarz Wilhelm. Dwaj pierwsi żyją jeszcze, trzeci położył się właśnie do grobu. Głos ogółu dawno już uważa pierwszego z nich za najgłówniejszego przedstawiciela dzieła dokonanego, drugi uchodzi za geniusza wojny, trzeci górował stanowiskiem.

Byłoby jednak niesłusznem z tej tylko okoliczności przypisywać wybitne znaczenie w pracy zjednoczenia zmarłemu tryumwirowi. W toku niniejszego opowiadania przekonamy się niebawem, jak ważną rolę odegrał w przebiegu tych dziejowych, chociaż wczorajszych dopiero wypadków cesarz Wilhelm, jak wiele tu zaciążyła jego indywidualność, przekonania, usposobienia i zamiary, do których dążył wytrwale. Umiał niewątpliwie wybierać współpracowników i — co ważniejsza — umiał ich utrzymać; działo się to jednak dlatego właśnie, że solidaryzował się zupełnie z ich dążeniami, oni zaś wchodzili w cele i widoki swego monarchy. Najbardziej rzutkim i samodzielnym, najmniej rutynowanym w trójcy był niewątpliwie ten, którego zwą Żelaznym Kanclerzem; zasługą jednak niewątpliwą cesarza, że geniusz ten umiał odczuć, zaufać mu i dać możność działania.

W szkicu niniejszym ograniczymy się do nakreślenia postaci nieboszczyka na tle wypadków, które stanowią prawie treściwy przegląd historyi stulecia. W opowiadaniu tem, możliwie zwięzłem, pójdziemy za śladem francuskiego pisarza, p. Edwarda Simona *), którego dzieło wywołało, nawet w Niemczech, głosy uznania dla objektywnego spokoju i pełności wykładu. Uznanie przeciwnika jest podobno największą pochwałą, da się zaś to poniekąd zastosować nietylko do samej pracy francuskiego publicysty, lecz i do samego bohatera: zalet bowiem cesarza Wilhelma i jego udziału we wspólnej pracy przywrócenia potęgi Niemiec autor nie przemilcza. Woleliśmy zresztą wziąć sobie za przewodnika w tym szkicu francuza, książka bowiem jego wolną jest od nadmiernych chwalb i szowinizmu, a bez tych właściwości nie znaleźlibyśmy odnośnego źródła we współczesnej literaturze niemieckiej.

I.

Cesarz Wilhelm I-y urodził się dnia 22 marca 1797 r. — miał więc pełnych prawie lat 91. Syn króla Fryderyka Wilhelma III i królowej Ludwiki, wstąpił na tron pruski po starszym swym bracie Fryderyku Wilhelmie IV w dniu 1 stycznia 1861 r. Dnia 18 stycznia 1871 r., w pałacu Wersalskim, okrzyknięty został cesarzem Niemiec. Panował jako król lat 27, jako cesarz 17.

Monarcha, który doczekał się tak sędziwego wieku był dzieckiem tyle słabowitem, że matka własna wątpiła o tem, czy się wychowa. Dano mu jednak, jak wszystkim Hohenzollernom, wychowanie wojskowe, co go zahartowało. Pierwsze lata młodości ubiegły mu za wojen napoleońskich. Obrazy, jakie miał wówczas przed oczami przyszły cesarz: krwawe bitwy, wszechwładztwo siły, klęski własnego kraju, nienawiść przeciwko Napoleonowi, który jego rodzinę poniżył — wszystko to niewątpliwie pozostawiło w umyśle młodzieńca niezatarte ślady. Od roku 1813, przy boku swego ojca, brał udział czynny w walce; należał do składu sprzymierzonych armij, które wkroczyły do Francyi, czego wspomnieniem był 50 letni jubileusz pierwszego chrztu ognia, pod Bar-sur-Aube, jaki ówczesny król pruski obchodził r. 1864 w Berlinie. Od r. 1815 do 1840 książę Wilhelm nie odgrywał roli publicznej, z wielkiem jednak zamiłowaniem oddawał się służbie wojskowej. Nie uważał tego bynajmniej za rozrywkę książęcą, lecz pracował niezmordowanie nad wyćwiczeniem i udoskonaleniem armii, w której widział rękojmię pomyślności swego domu i państwa. W r. 1825, mając lat 28, posiadał dobrze zasłużony stopień generała dywizyi.

Na czas ten przypada romantyczny epizod w życiu tego twardego żołnierza, który dosłownie za Simonem powtórzymy. Ojciec życzył sobie, ażeby syn zaślubił starszą córkę wielkiego księcia sasko-wejmarskiego, serce jednak ciągnęło młodego generała ku księżniczce Elizie Radziwiłłównie, którą gorąco pragnął ujrzeć swą prawą małżonką. „Wielkie przeszkody—mówi autor francuski — stanęły na drodze temu związkowi; statuty domu królewskiego pozwalały jedynie na zaślubiny księżniczek krwi. Możne i przyjacielskie wpływy starały się usunąć lub obejść tę przeszkodę. Uczeni doradcy dowodzili, że rodzina Radziwiłłów, spokrewniona z dawną polską dynastyą, była równie dobrej krwi królewskiej, jak i Hohenzollernowie. Wypadek nieprzewidziany obrócił jednak w niwecz wszystkie usiłowania zakochanego księcia. Młodszy brat jego, książę Karol, pojął za małżonkę drugą córkę wielkiego księcia sasko-wejmarskiego; starsza pozostała panną. Wówczas książę rzeczony, poinformowany o zamiarach starszego brata swego zięcia, oświadczył, że w razie, gdyby książę Wilhelm plany swe co do zaślubienia Radziwiłłówny przyprowadził do skutku, wówczas dwór wejmarski domagać się będzie dla dzieci w linii męzkiej księcia Karola

*) *L'Empereur Guillaume et son regne.* Paryż, 1887.

prawa pierwszeństwa przed dziećmi księcia Wilhelma co do następstwa na tronie pruskim. Zarysowały się więc w przyszłości walki o dziedzictwo tronu, które mogłyby były wystawić na szwank losy dynastyi. W tym stanie rzeczy król-ojciec wystąpił stanowczo, zwracając się do poczucia obowiązku swego syna. Książę, lubo boleśnie dotknięty zaleceniem ojcowskiem w swych najpiękniejszych marzeniach — nie wahał się ani chwili. Poddał się i zaślubił niebawem starszą córkę księcia sasko-wejmarskiego, księżniczkę Augustę. Przyszły cesarz dał niewątpliwie w tym wypadku dowód siły charakteru, a przynajmniej posłuszeństwa obowiązkowi, widokom familijnym i państwowym. I kto wie, czy piękna Radziwiłłówna, polka i katoliczka, byłaby odpowiednią żoną dla przyszłego króla pruskiego i cesarza Niemiec... A może wpływ jej byłby zbawiennym i dla samej Giermanii? Kto wie! Niewątpliwie jednak pierwiastek ten odjąłby jednolitość tej pruskiej budowie, która się wznosić miała i byłby ją może osłabił. Nie wiemy, jak zniosła rozchwianie się tych planów księżniczka Eliza, do której i Chopin posyłał idealne westchnienia; wiadomo tylko, że ta prawnuka Barbary zmarła w kwiecie wieku.

(D. c. n.).

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wszystko może odpoczywać, nawet w legendzie stanęło słońce, gdy mu kazał Jozue, ale nigdy nie odpoczywa ruleta rządów we Francyi. Tym razem wygrał *rouge*. Na czele nowego, wiosennego gabinetu stanął dotychczasowy prezes Izby deputowanych, znany i obmyty z pewnego okrzyku— Floquet, jako minister spraw wewnętrznych. Obok niego: Freycinet (inżenier) objął tekę... wojny, Goblet sprawy zagraniczne itd. Nowe ministeryum, które bodajby doczekało tegorocznych pierwiosnków, złożyło dość stanowczy i na długie rządy rozmierzony program. Zapowiada ono, że „nie cofnie się przed żadną gruntownie opracowaną reformą," podejmie rewizyę konstytucyi w „stosownej porze," oraz rozstrzygnięcie ważnych zagadnień ekonomicznych, wskrzeszenie sądownictwa świeckiego w sprawach kościoła itp. „Zbrójmy się na wewnątrz i zewnątrz — powiada w końcu nowy rząd — ażebyśmy godnie uczcić mogli setną rocznicę 1789 r." Trudno zaprzeczyć, że w tej deklaracyi jest wiele dobrych chęci i rozumnych zamiarów, ale niepodobna ich wliczać do rachunku przyszłości wobec tego prawie niewątpliwego przypuszczenia, że Floquet z towarzyszami, jak ich poprzednicy, wkrótce zostanie wysadzony z urzędu. *Post* niemiecka ma poniekąd słuszność, twierdząc, że obecne ministeryum jest ostatnią próbą uratowania Rzeczypospolitej. Ostatnią nie w tem znaczeniu, ażeby po niem już miała Rzeczpospolita zginąć i ustąpić miejsca innej formie rządu, ale w tem, że z talii republikańskiej zaczęto wygrywać ostatnie atuty — radykalne. Już wszystkie żywioły były u steru, teraz powołano lewicę: pozostaje jeszcze Clemenceau i jego straż przyboczna, potrzeba więc albo rozpocząć grać na nowo kartami zużytemi, albo wziąć nowe—monarchiczne. Czy do tego nie przyjdzie — ręczyć nie można. Francya weszła obecnie w stan takiego rozstroju, zamętu i bezwładności, że gdy się nim znuży, może zatęsknić do spokoju i ładu, utrzymywanego jedną silną wolą. Jej rządy od lat paru nie są prawidłowem kierownictwem, ale jednym wielkim skandalem. Zola trafnie sądzi, gdy w wybuchach na cześć Boulangera widzi powrotną falę instynktów miłujących dyktaturę. „Grzbiet francuza — mówi on w *Figarze* (według *Gaz. warsz.*) — jest zgięty wskutek długiego poddaństwa. Kulki krwi naszej są monarchiczne. Nasze popędy ku Rzeczypospolitej, nasze piękne marzenia o narodzie, który sam sobą rządzi, zostają w ciągłej sprzeczności z tymi potężnymi śladami atawizmu... Już w Gambecie tłum widział dyktatora, zbawcę; toż samo widział w Boulangerze. Gambetta i Boulanger występują dla niego jako fetysze. Pierwszy przynajmniej mógł się pysznić swym talentem pierwszego mówcy; co do drugiego, który go dziś zastępuje, nic, nic, nic! I w tem właśnie leży jego siła, że jest abstrakcyą, ideą, istnością. Może według zachcenia robić wszystko, pozwalać sobie na wszystkie niedorzeczności, walić błędy na głupstwa: w niczem to nie zmieni jego popularności. W oczach tłumu stanowi on oderwaną ideę zbawcy. Rząd dzisiejszy może go prześladować, potępiać, drzeć na nim mundur, zrzucić mu z głowy jego pióropusz, pozbawić go męzkości nawet, wyrywając mu z ręki szablę. Boulanger pomimo to zostanie tem, czem jest: ideą! Niepodobna zdegradować, niepodobna zdepopularyzować tego, co nie istnieje — abstrakcyi!"

Cesarz niemiecki, któremu zapewne te konwulsye sąsiadki nie mącą spokoju marą bliskiego odwetu, ma się to gorzej, to lepiej. Udzielił amnestyę rozmaitym przestępcom (głównie państwowym), wydał nową instrukcyę dla piechoty, słowem pozostaje wiernym przyrzeczeniu, że o „czyny wielkie" się nie pokusi.

Negus abisyński, zdaje się, wyprowadzi włochów z kłopotu, gdyż objawił chęć zawarcia pokoju. Że oni z nim targować się nie będą, wątpić trudno.

Przewrot ministeryalny w Rumunii zakończył się utworzeniem nowego gabinetu i odkryciem szeroko rozgałęzionego spisku przeciw rządowi. Dotychczas jednak sprzysiężeni traktowani są wspaniałomyślnie.

Słynna sprawa podatku wódczanego w Austryi jeszcze nie zakończyła się. A jakie pociski godzą w „ministra rodaka," dowodem broszura, w której jakiś szlachcic radzi, ażeby wszystkie gorzelnie galicyjskie urządziły bezrobocie i tym sposobem, zagroziwszy rządowi utratą dochodu, wywarły nacisk na p. Dunajewskiego. Autor bardzo dobrze wycelował, tylko zapomniał— jak zauważyła *Gazeta polska* — o jednej drobnej rzeczy—że za nim stoi węgier, który mu chętnie kurek ściągnie do strzału a potem Galicyę swoją wódką zaleje.

BADANIA NAUKOWE.

ECHA MESYANISTYCZNE
w Literaturze polskiej.

VII.

Ewangielie arcywieszcza Adama. — Ogólny zarys procesu dziejowego.

Najznakomitszy pieśniarz polski bardziej, niż ktokolwiek przejął się duchem współczesnej epoki dziejów narodowych. Warunki, w jakich wzrastał i dojrzewał, rozwinęły religijno - patryotyczne tło charakteru, a samowiedza olbrzymiego talentu utrwaliła wiarę w niezłomną potęgę uczucia. Przekonanie o wszechmocności natchnień lirycznych, powstałe śród anielskiego „promienistych" grona, było z jednej strony nieprzyjaznym chłodnem czasów minionych prądowi, wytwarzającym oryginalną poe-

6)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.
II.

AURELI WISZAR
dramat w trzech aktach

W. Okońskiego.

(Dzieje się współcześnie w Krakowie).

Wydmuchalski.

Ostrożnie, panie hrabio, z tym wyrazem, jak z trucizną, która w małej dawce uzdrawia, a w dużej zabija. Nie każdy przekupień może sprzedawać arszenik, a każdy ma handlować swobodą, najniebezpieczniejszym środkiem, jaki zna medycyna społeczna? Gdyby pan Wiszar zapuścił w społeczność olbrzymi dzwon i odosobniony używał pod nim wolności jak uważa, nie powiedzielibyśmy mu ani słowa. Ale jego działalność łączy się przez nerwy ekonomiczne z całym ustrojem pracy narodu; musi więc z nim liczyć się. Jego przedsięwzięcie jest to nastrzykiwanie zarazy w zdrową krew żył naszego przemysłu.

Kreisler.

I jakiej zarazy!

Wydmuchalski.

Wszyscy ludzie, którzy nici swoich działań nie związują z pasmem tradycyi, z przędzą pokoleń minionych, szkodzą ogółowi, który powinien strzedz się przełomów i robót od przeszłości oderwanych. W życiu narodów wszelki początek i dokończenie należy do Boga, tylko ciąg dalszy do ludzi. Pan Wiszar z gromadą ciemną chce jedną postać naszych stosunków ekonomicznych zakończyć, a drugą zacząć. Tego on chce— ale my tego nie chcemy, my — przedstawiciele większości społeczeństwa.

Kreisler.

Nigdy.

Wydmuchalski.

Nie, panowie, niepodobna wyrozumiałością otaczać takich szaleństw, bez względu na to, czy one się lęgną w nieświadomości, czy w złej woli. Czas już, ażebyśmy wyzwolili się z pod tyranii ślepych instynktów czerni, którym marzyciele, czy szkodnicy otwierają klatki i zdejmują obroże. Nigdy żadnych praw trwałych nie stanowił tłum ciemny, bo jest do nich niezdolny. On zdolny tylko albo do posłuszeństwa i pracy, albo do grabieży i gwałtów. Rzeka jest użyteczną, spławia statki i dostarcza siły ruchowej fabrykom, ale ujęta w mocne łożysko— inaczej wszystko zaleje i zniszczy. Podobnie siły robotnicze. Pan Wiszar burzy wały i tamy u siebie, ale na tej rzece stoi nietylko jego młyn, lecz także inne, którym on zagraża a które przeciw jego swobodzie bronić się powinny.

Kreisler.

Tu o byt chodzi!

Wydmuchalski.

Moi panowie, jest to kwestya tak prosta, że dużego namysłu nie potrzebuje. Jeżeli istnieją prawne ograniczenia w wyrobie materyałów wybuchowych fizycznych, to muszą istnieć ograniczenia dla wytwarzania tego rodzaju materyałów moralnych. Nie pojmuję, dlaczego nie każdemu ma być wolno przygotowywać proch, a każdemu wolno przygotowywać komunizm.

Hr. Scibor.

Prawda...

Kreisler.

To więcej, niż prawda, to rozumna przestroga.

zyę czynnikiem, z drugiej — pokusą groźby, zwróconej ukośnie przeciw namiestnikom Jehowy. *Oda do młodości* jest różanym jego kwiatem — wymowną antytezą wulkanicznego zapału wobec zimnego rozsądku, altruizmu wobec samolubstwa, szerokich widnokręgów odrodzonego świata wobec grzęzkich bagien rzeczywistości. Natchniony wódz filaretów marzy o nowym porządku społecznym, opartym na cnocie i poświęceniu: pleśń i martwota szlachetny wstręt w nim budzi, ale go nie ubezwładnia; „przesądy, światło ćmiące“ nie pognębiają umysłu, który w oddali świt nowego dnia dostrzega. W utworze tym spoczywa niby zarodkowa monada przyszłych poglądów mesyanistycznych Mickiewicza. Uczucie patryotyczne, wolne od karbów zaściankowego partykularyzmu i religijne, żadną sutanną wyznaniową nieskrępowane, przedstawiają tu jeszcze pierwotną, naturalną jedność. Rolę rycerza-apostoła, mającego starą „bryłę świata“ „nowymi pchnąć tory,“ powierza śpiewak nie całemu narodowi, nie jego ojcom sędziwym, lecz wybranej gromadce młodzieży, która zawsze i wszędzie dobre i złe prądy czasu najwierniej odczuwa.

Po upływie dziesięciu lat niespełna, gdy umysł poety zbogacił się poznaniem różnych ziem, ksiąg i charakterów, a serce niejedną ciężką przebolało stratę, wyszedł z pod jego pióra nowy promień światła ewangelicznego. Entuzyastyczne usiłowania młodzieży rozbiły się w r. 1831 o twardą opokę konsekwencyi dziejowej. Duch wieszcza, daleki od trzeźwego stąpania po ziemi, nie uległ ubezwładnieniu i przy dawnym pozostał sztandarze; ale miejsce nadziei zajęła boleść, granicząca z rozpaczą; „braci-orłów“ drużyna zaszła gdzieś za chmury, gromadę zastąpiła jednostka, dopominająca się wielkim głosem, w imię uczucia, o buławę nad milionami. Cierpienie, wynikające z pobudek społecznych, znalazło swój odblask w słowie twórczem, a poczucie niezwykłej siły talentu sprawiło, że pieśniarz urósł nagle we własnem mniemaniu do godności Prometeusza i Mesyasza narodowego. Mickiewicz korzystał niezawodnie z takich wzorów, jak księgi Hioba, *Faust* Goethego, *Manfred* i *Kain* Byrona, a wstępując w ślady całego szeregu poprzedników, dotknął genialnem piórem niepokojącej ludzkość zagadki bytu. Myśl więc zasadnicza „improwizacyi“ jest odwiecznym wtórem jęków ducha człowieczego; ale tendencya, barwa i granice widnokręgu marzeń stanowią oryginalny dorobek naszego arcywieszcza. Jako myśliciel — na danem stanowisku — nie grzeszył zbyt śmiałym polotem: z despotycznych objęć surowej karmicielki niemowlęctwa ludów tylko pod wpływem nadmiernego wyzwalał się cierpienia. Nie może on być porównany w tym względzie ani z Goethem, ani z Byronem. Swobodna definicya Boga, wypowiedziana przez Fausta w rozmowie z Małgorzatą, owo zamaskowane wyznanie ateizmu („Wer darf ihn nennen?..“) nie zyskałoby pewno nigdy poklasku Mickiewicza. Prawda, że w przystępie szału porównał się z istotą najwyższą („Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę...“), że jej zaprzeczył przymiotu miłosierdzia (Kłamca, kto ciebie nazwał miłością!“); prawda, że zniecierpliwiony milczeniem zagadkowego interlokutora, całą potęgę uczucia woli i przeciw niemu skierował („Odezwij się, bo strzelę przeciw twej naturze!..“); ale wiarą w istnienie osoby wszechmocnej, nad światem panującej, nawskróś był przeniknięty. Jan Kochanowski w najpiękniejszym ze swych trenów zakwestyonował nieśmiertelność duszy („Gdziekolwiek jest, *jeśliś jest*...); w Mickiewiczu napróżnobyśmy szukali dowodów takiego sceptycyzmu. Wiara protestacza stanowi grunt nawet pseudo-filozoficznej „improwizacyi.“ Do pojedynku z Bogiem występować może nielada śmiertelnik i w nielada sprawie, ale tylko taki, który uznaje osobowego pana i stwórcę wszechświatów; walka bowiem z prawami natury jest zbyt rażącą niedorzecznością... Bądź co bądź, wiadomo, że nigdzie Mick. nie rozluźnił tak, jak tu, krępujących swój umysł więzów kościelnych; jeśli się wszakże dopuścił „bluźnierstwa,“ to jedynie gwoli uczuciu, które w jego sercu nad innemi górowało. Dwa rozwiedzione prądy kojarzą się znów, pod błękitnem, polsko-katolickiem niebem, w słowach księdza Piotra, egzorcysty i proroka. Spotykamy w następnych scenach całe legiony złych i dobrych duchów. Improwizator, który przed wymówieniem ostatnich słów upadł w omdleniu, zostaje wyzwolony z pod władzy „szatana,“ dzięki zaklęciom i modlitwie pobożnego mnicha. To, co święty mąż „widzi“ i wypowiada, stanowi koronę dogmatyczną i zarazem antytezę improwizacyi. Chcąc „z Panem gadać“ i przyszłość lechitów oglądać, trzeba się ukorzyć przed bożem obliczem, a więc zaopatrzyć w oręż, wprost przeciwny temu, jakiego Konrad używał. Przyszłość w bardzo zagadkowych rysach, ale w świetnych skreślona barwach. Mesyasz nadewszystko, mający służyć narodowi za zbawcze w bożej dłoni narzędzie potwornymi przeraża kształtami („Mąż straszny—ma trzy oblicza... Jak baldakin rozpięta księga tajemnicza nad jego głową...“). Proroctwo to, skreślone, jak wiadomo, w chwili pityjskiego zaćmienia samowiedzy, nietylko wprowadza autora w sferę właściwego mesyanizmu, ale poniekąd czyni go sybillą późniejszej o lat dziesięć sekty „mistrza Andrzeja.“ Zasada upokorzenia wiedzy i dumy osobistej, pod chorągwią prawomyślności, przekreśla postacią księdza Piotra, niby gorejącym krzyżem, ostatni grzech Prometeuszowego porywu.

Stąd już łatwe przejście do pełnego prostoty ewangelicznej budynku, noszącego miano *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa*. „Główne zasady poglądu,“ który temu dziełku za podwalinę służy, „powstały — jak mówi Piotr Chmielowski — w Rzymie, przy czytaniu dzieł księdza Lamennais, w rozmowach z ks. Chołonieckim i hr. Rzewuskim, szczegóły wyjaśniły mu się za pobytu w Dreznie, ostatecznie zaś skrystalizowały w Paryżu, na widok rozpraw i czynności wychodztwa“ *). Duch, ożywiający tę pracę, niczem się w istocie nie różni od przekonań księdza Piotra z trzeciej części *Dziadów*, a dużo ma cech wspólnych z osnową *Poselstwa* Brodzińskiego.

Kochowski, Woronicz, Brodziński opiewali tendencyjnie przeszłość naszą; ale żaden nie uczynił z niej rdzennego nurtu dziejów ogólnych. Pierwszy się o to pokusił Mickiewicz.

Wizerunek moralnego rozwoju ludzkości częstokroć zostaje w jaskrawej niezgodzie z logiką i prawdą historyczną. Posłuchajmy wstępnych słów pseudo-ewangelii: „Na początku była wiara w jednego Boga i była wolność na świecie. I nie było praw, tylko wola Boga i nie było panów i niewolników — tylko patryarchowie i dzieci ich. Ale potem ludzie wyrzekli się Boga jednego i naczynili sobie bałwanów i kłaniali się im i zabijali na ich cześć krwawe ofiary... Przeto Bóg zesłał na bałwochwalców największą karę, to jest niewolę. I stała się połowa ludzi niewolnicą drugiej połowy, chociaż wszyscy pochodzili od jednego ojca. Bo wyrzekli się tego pochodzenia i wymyślili sobie różnych ojców; jeden rzekł, że pochodzi od ziemi, a drugi od morza, a inni od innych. A gdy tak wojując, jedni drugich brali w niewolę, wpadli wszyscy razem w niewolę imperatora rzymskiego.“

*) *Adam Mickiewicz*, t. II, str. 145.

Hr. Scibor.

Dla mnie potrzebna tylko prawda (*do Wydmuchalskiego*). Chociaż zdaje mi się, że pan Wiszar o żadnym komunizmie nie myśli.

Wydmuchalski.

Czy woda, ogień, zaraza myślą o szkodzeniu komukolwiek? A jednak od nich się ubezpieczamy. Więc jeżeli dziecko zacznie się bawić nabitą strzelbą, to pan hrabia mu jej nie wydrze? Mnie od wystąpienia przeciw Wiszarowi wstrzymała tylko niepewność co do wpływu urządzeń jego fabryki na inne. Ale skoro panowie mnie upewnicie, że wpływ ten jest widocznym i zgubnym, uderzę na niego całą powagą mojej gazety.

Kreisler.

Oddasz pan krajowi usługę zacną.

Hr. Scibor.

Tylko umiarkowanie, po obywatelsku...

Wydmuchalski.

Ależ panie hrabio, ten człowiek nas wyzywa! Nie wiem, czy panowie słyszeliście, że on zgładza rodzinę.

Hr. Scibor.

Jakto?

Wydmuchalski.

Namówił robotników, ażeby znieśli gospodarstwa domowe i założyli sobie wspólną restauracyę, pralnię, szpital, niańczarnię, szkołę...

Kreisler.

To coś nowego.

Hr. Scibor.

Rzeczywiście, idzie za daleko. Panie Kreisler, daj umowę — podpiszę (*odchodzi z Kreislerem do stolika, przy którym siada i czyta papier*).

Ksawery.

No, tę zagładę rodziny pewnie pan zaimprowizowałeś.

Wydmuchalski.

Mówię prawdę z nałogu, jako redaktor dziennika, który nigdy nie zmyśla.

Ksawery.

Nigdy? Czy pan wierzysz w cnoty tej starej rozpustnicy, hrabiny Opalskiej, której dom we wczorajszym numerze nazwałeś szkołą dobrych obyczajów?

Wydmuchalski.

To co innego— to polityka. Musimy mieć zacne matrony.

Ksawery.

Ja mogę się bez nich obyć, nawet gdy jestem ich spadkobiercą. Dam panu dobrą wiadomość: za tydzień się żenię z panną Kreisler — co pan możesz w swej gazecie ogłosić, jutro zaś wyprawiam stypę pogrzebową mojego kawalerstwa, na którą racz pan przybyć.

Wydmuchalski.

Dziękuję za obie nowiny i z obu skorzystam.

Ksawery.

Zwłaszcza z drugiej. Ulituj się pan nade mną: jestem wytarty jak stara podeszwa, znudzony, a pan masz humor. Próbuję jeszcze jednej rozrywki — małżeństwa, ale zanim to nastąpi, chciałbym z kawalerskiego kielicha wysączyć ostatnią kroplę słodką śród ludzi, którzy się śmiać umieją. Ale, ale... czy pan nie znasz jakiejś oryginalnej mieszaniny do picia? Matematyka powiada, że z niewielu liczb można zrobić bardzo wiele kombinacyj, a my z tylu gatunków win, likierów i owoców zdołaliśmy dotąd wytworzyć zaledwie kilka głupich przepłuków gardła.

Wydmuchalski.

Pomyślimy. Co za umowę ci panowie podpisują?

Ksawery.

Przymierze zaczepno-odporne przeciw Wiszarowi.

Oto rys dziejów starożytnych aż do r. 30 mniej więcej przed Chr., na poczekaniu umyślnie grubem dla ogółu polskiego skreślony piórem. Przypuśćmy, że „*na początku* była wiara w jednego Boga i wolność na świecie...“ coś w rodzaju „wieku złotego“— opiewanego przez Biblię, Zendawestę, Hezyoda, Owidyusza — przypuśćmy, że stanu dzikości, wojny wszystkich przeciw wszystkim, nie znały ludy pierwotne. Wolno zresztą, według tradycyjnej etyki, świętemu mężowi, w zbawiennym celu, dopuszczać się kłamstwa, zwłaszcza gdy ma ono za sobą stuleci długich powagę. Fałszywy punkt wyjścia obala całe rozumowanie — to prawda; ale mógł wieszcz poprzestać na tem i dążąc do zamierzonego celu, wiązać dalej starannie ogniwa myślowe. Lamennais w swych *Księgach ludu* (*Les livres du peuple*, 1837) z tego samego punktu wychodzi, lecz rozumuje o wiele ściślej i logiczniej. „*Potem* ludzie—mówi Mickiewicz—wyrzekli się Boga jednego.“ Kiedyż to było i z jakiej przyczyny? Tak się im dobrze działo na świecie — wolnością i szczęściem oddychali... Czyżby „szatan“ ich podmówił? Prawdopodobnie; o tym jednak substytucie wszelkich zagadkowych przyczyn żadnej tu niema wzmianki. „*Przeto* Bóg zesłał na bałwochwalców największą karę ..“ Następstwo takie uważa autor za naturalne, zapominając, że podaje w wątpliwość ideę sprawiedliwości bożej. Karać tak ciężko za to, co było wynikiem pewnej pobudki, na którą sam stwórca zezwolił i o której sam wiedzieć musiał — czyż to nie potworna tyrania? Gdyby zresztą kara miała jakiś cel wychowawczy, gdyby wywołała poprawę, możnaby ją jeszcze usprawiedliwić... Ale gdzie tam! Dzieci, przez „ojca dobrotliwego“ na twardą skazane pokutę, coraz to głębiej w ciemną spadają przepaść. Ostatni tylko fakt poeta jako tako usprawiedliwił— podbój ludów przez imperatora rzymskiego.

Dalsza historya nie większą odznacza się dokładnością. Uwydatniono w niej wszakże pewne momenty odrodzenia: przyjście „Syna Bożego,“ odkrycie Ameryki (Kolumb), wyzwolenie północnych jej mieszkańców (Lafayette) i upadek porównanej z Chrystusem Polski. O wypełnienie tych okresów, o ich prawdopodobną charakterystykę, o cement logiczny mało się Mickiewicz troszczył. Wiara chrześciańska, zdaniem wieszcza, cudowną dla ludzkości sprowadza zmianę: „Czy to niemcy, czy włochy, czy francuzi, czy polacy uważali siebie za jeden naród i nazwano ten naród chrześciaństwem. I królowie różnych narodów uważali się za braci i szli pod jednym znakiem krzyża.“ Piękny to zaiste obraz, ale cóż — kiedy go światło dzienne nigdy nie oglądało! Szli wprawdzie królowie, pod znakiem krzyża, do Palestyny; ale się kłócili i szkodzili sobie wzajem, a o powszechnej federacyi ludów pod godłem Chrystusowem nic zgoła nie słychać; chociaż skądinąd wiadomo, że wspólna wiara była ważnym czynnikiem cywilizacyjnym i ułatwiała niegdyś komunikacyę między różnymi narodami europejskiego zachodu. „Chrześcianie wojowali nie dla sławy, ani dla zdobycia ziem, ani dla bogactw, ale dla oswobodzenia ziemi świętej“ — mówi autor, zamykając świetlany epizod o krucyatach, jakby nie wiedział, że po krótkotrwałej chwili zapału (w r. 1095) następował długi szereg czynów, spełnionych pod wezwaniem „bałwana interesu,“ przeciwko któremu z taką piorunuje siłą. Wzrost feudalizmu, w ramach niewłaściwej epoki umieszczony, utożsamia poeta z rozwojem wolności, w kierunku — od szczytów do podstaw. Dokonanie tego procesu przeszkodzili królowie: „bo stali się źli i szatan wstąpił w nich,“ „porobili nowe bogi, wyrzekłszy się Chrystusa i postawili je przed obliczem narodów i kazali im kłaniać się i bić się za nie.“ Tej praktyce bałwochwalczej nie poddali się tylko dwaj mężowie — Kolumb i Lafayette; ale dobry przykład nie wywarł stanowczego na ludzkość wpływu. „Wyrobili“ wreszcie władcy „najobrzydliwszego ze wszystkich bałwana“ i nazwali go „*interes*, a tego bałwana — dodaje poeta w naiwnym duchu nastroju — nieznano u pogan dawnych.“ „Jeden naród nie kłaniał się nowemu bałwanowi i nie miał w mowie swojej wyrazu na ochrzczenie go po polsku, równie jak na ochrzczenie czcicieli jego, którzy nazywają się z francuskiego *egoistami*.“ Poeta zbyt wielką niekiedy wagę przywiązując do pewnych wyrazów, a zbyt małą do pojęć, uważa *interes* polityczny za wynalazek drugiej połowy osiemnastego wieku, obcy czasom dawnym i w swej patryotyczno-proroczej żarliwości niesłusznie tu o ubóstwo polszczyznę posądza. Mamy bowiem w języku naszym trzy wyrazy cudzoziemskiemu *egoista* odpowiadające: *sobek*, *samoiściec*, *samolub*. Powstawały one prawdopodobnie w takim, jak je tu wymieniono, porządku chronologicznym. Najmłodszy z rodziny przyczynił się nawet do uplastycznienia wstrętnej postaci płazu człowieczego w prześlicznym Mickiewicza do współfiarctów toaście („Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby... To *samoluby*!“).

Nawet liberalne urządzenia państwowe Europy zachodniej uważał Mickiewicz za rośliny bezpłodne, za anachronizmy, niewytrzymujące probierza miłości i wiary: „Anglia i Francya są jako Izrael i Juda. Jeśli posłyszycie liberalistów, swarzących się o dwie izby i o wolność druku, nie dziwujcie się mądrości ich — jest to mądrość starego zakonu.“ Przypowieści, zręcznie na wzór Chrystusowych usnute — o wielkich okrętach i małym statku rybackim, o starszych i młodszych jednego ojca dzieciach — są plastycznymi kryształami powtarzanej aż do znudzenia teoryi o moralnem przodownictwie i apostolstwie tułaczej „duszy“ narodu. Patryotyczny Mickiewicza fanatyzm nie zna miary ni granicy i gardzi czasem najskromniejszemi wymaganiami zdrowego rozsądku. „Nie wszyscy jesteście równie dobrzy — powiada — ale gorszy z was lepszy jest, niż dobry cudzoziemiec; bo każdy z was ma ducha poświęcenia się.“ Jedno z tych zdań, które podkopują ideę sprawiedliwości!..

Rady, jakie daje wychodźcom, przypominają często katechizm Brodzińskiego. Miłujcie się wzajem, czcijcie przeszłość, wierzcie w swe posłannictwo, unikajcie próżnych sporów, dla drugich bądźcie łagodni, a dla siebie surowi“ — oto treść nietylko przestróg dwu naszych wieszczów, ale i wszelkich „ewangielij.“

W wykładzie etyki, pod narodowo-mesyanistycznem godłem, trudno uniknąć sprzeczności. „Upokorzcie się przed oczyma waszemi“ — mówi poeta w rozdziale dwunastym. Czyż to jednak możebne dla tych, co wiedzą, że „gorszy“ z ich grona „lepszy jest, niż dobry cudzoziemiec“?.. Niekiedy wszakże bardzo praktyczne z ust wieszcza wychodzą przestrogi. Zaleca współrodakom żyć własną pracą, uczyć się rzemiosł, sztuki i nauk od cudzoziemców, a biesiad społecznych, „do których potrzeba mądrości i zgody,“ nie zaczynać „od jedzenia i picia“; doradza wreszcie skromność w ubiorach i szczędzenie grosza na sprawę publiczną.

Gorąca wiara w natchnienie boże, w potęgę intuicyi towarzyszy wieszczowi od początku do końca; stara się ją też przelać w umysły pielgrzymujących współziomków. „*Człowiek poczciwy*, zdaniem poety, idąc na radę, pełne ma serce miłości ojczyzny i czując prawdę tego, co ma mówić, *mówi, nie myśląc o porządku*, a wszakże mowa jego będzie porządna, i spiszą ją skoropisowie na wzór dla innych, a on sam zadziwi się, iż tak mądrze mówił.“ Jest to u-

---

Wydmuchalski.

Pan nie uczestniczysz?

Ksawery.

Odegrałem już moją rolę konceptem o loteryi a zresztą niech mi do dyabła dadzą spokój z tymi robotnikami, którymi jeszcze się uraczę, gdy ich odziedziczę po teściu i wuju. Dawniej zajmowały mnie przynajmniej młode i ładne robotnice, dziś muszę się oszczędzać dla żony. Będę więc panu bardziej wdzięczny jutro za smaczną kombinacyę ponczową, niż za ów strzelisty artykuł w naszym interesie.

Wydmuchalski.

W interesie społeczeństwa.

Ksawery.

Ja mówię, nie drukuję, więc mogę się tak wyrażać. Czy pan istotnie czułeś kiedykolwiek w sobie społeczeństwo?

Wydmuchalski.

Ciągle.

Ksawery.

To pan zapewne umiesz urządzać deputacye zbiorowe?

Wydmuchalski.

Organizowałem niejedną... Ale co to ma za związek... Czy jaka akcya polityczna?

Ksawery.

Pogadamy jutro...

Kreisler (*odchodząc ze Sciborem od stołu*).

Najwyżej będzie pan hrabia żałował długiego namysłu.

Hr. Scibor.

Wy przywykliście strzedz kredytu swej firmy, my — godności naszego nazwiska. Różne mamy pobudki działania a więc różne obawy.

Kreisler.

Ale pan hrabia w tej chwili jest tylko przemysłowcem.

Hr. Scibor.

Nie... mylisz się pan... nie...

Kreisler.

Nie rozumiem.

Hr. Scibor.

Ja od pana tego wcale nie żądam.

Służący (*wchodzi*).

Telegram (*oddaje depeszę Kreislerowi i odchodzi*).

Kreisler.

Ha, ha, ha... Funke z Wiednia dowiedział się od kogoś o całej awanturze i pyta, czy urządzamy wyprawę na Wiszara. Chce się z nami połączyć... Niejeden jeszcze przybędzie... Owszem — im więcej, tem skuteczniej.

Hr. Scibor.

Panie Wydmuchalski, powtórz mi, że przystępując do spisku, który ma zniszczyć Wiszara, zrobiłem uczciwie.

Wydmuchalski.

Bez wątpienia, panie hrabio.

Hr. Scibor.

Żegnam panów (*podaje rękę Wydmuchalskiemu i Kreislerowi*). Ksawery, odprowadzisz mnie do domu, bo czuję się rozstrojony.

Ksawery.

Idę wuju (*do Kreislera*). Wytłomacz mnie pan przed panną Sylwią... Wieczorem będę. (*do Wydmuchalskiego*) Zawiąż pan sobie na pamięci supełek.

Wydmuchalski.

Zbyteczny... (*cicho*). Wypłoszże pan wujowi z głowy te czułostkowe wróble (*Scibor i Ksawery wychodzą*).

SCENA VII.

Kreisler i Wydmuchalski.

Kreisler.

A to stary, głupi słoń! Ciągle tylko macha swą szlachecką trąbą i myśli, że jest

waga, ze wszech miar godna improwizatora, wróżbity i kierownika spraw społecznych: doskonale ona wszakże maluje stan ducha, usiłującego unieruchomić własną wolę i poddać się rzekomemu wpływowi słońca opatrzności.

Księgi Mick. zdradzają bezwątpienia głębokie uczucie patryotyczne i humanitarne, ale nie stanowią drogocennej perły w jego literackim dyademie. Pod względem artystycznym ustępują one *Poselstwu* Kazimierza z Królówki, a pod względem filozoficznym — *Księgom ludu* Lamennais'go, które tem się różnią od przejrzanych kwiatów mesyanizmu, że dążąc, w powrotnym jakoby kierunku, do rodzinnego ustroju ludzkości, nie przypisują wyjątkowej roli żadnemu z narodów, a szczególną opieką uciśnione otaczają warstwy.

Mesyanizm polski w ocenionych utworach Brodzińskiego i Mickiewicza do zupełnego już doszedł rozwoju. Wypłynąwszy przed wiekami z cyklów wróżebnych Długosza i Skargi, ukształtował się pod wpływem fanatyzmu religijnego i klęsk narodowych w wieku siedemnastym; wzrósł na łonie konfederacyi barskiej; dojrzał w epoce rozbiorów, a w ciągu czwartego i piątego dziesięciolecia wydał upajających kwiatów mnóstwo. Dalszy rozkrzew systemu, przedstawiającego mieszaninę pojęć religijnych i politycznych, a opartego na Chrystusowem posłannictwie narodu i namaszczonych w jego regionie jednostek — polegać już tylko może na rozszerzaniu lub ścieśnianiu widnokręgu oraz zapożyczaniu szczegółów z różnych dziedzin pogranicznych.

W praktycznem życiu społeczeństwa idea, od proroków starohebrajskich przejęta, długo omylnym była drogowskazem. Ziarno wszakże jej szkodliwości leży nie tak w niej samej, jak koło niej. Sen poetyczny nikomu jeszcze krzywdy nie wyrządził; ale odwrócenie oczu od reszty świata i zasklepienie duchowe, towarzyszące mozolnej operacyi szczepienia sofizmatu w umysłach milionogłowego tłumu, stało się nieprzebranem wielu klęsk źródliskiem. Wypadki dopiero w siódmem zaszłe dziesięcioleciu zimną z ekstazy otrzeźwiły nas wodą i zerwany wątek marzeń oddały na igraszkę zdziecinniałym wieszczom. W r. 1878 umarł Andrzej Towiański, twórca sekciarskiego jeziorka, wykopanego na elizejskich błoniach mesyanizmu, przeżywszy swą sławę o całą ćwierć wieku. Dzisiaj więc błękitna mara Chrystusowego apostolstwa narodu już do wspomnień przeszłości należy, a jeśli się jeszcze tu i owdzie błąka, to jedynie jako jaskrawa uczt jubileuszowych ozdoba lub westchnienie pobożne schodzącego do trumny pieśniarza.

Antoni Gustaw Bem.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

(Dokończenie).

Ażeby dowieść, iż medycyna owczesna nie miała zasady pogardzać tem, co jej przynosiła nowa nauka, dr Ochorowicz pragnął barwnie i dosadnie naszkicować ubóstwo pierwszej i w tym celu przytoczył w całej rozciągłości protokół jednego z posiedzeń akademickich, na którem podochoceni lekarze straszne herezye przeciw swej mistrzyni wygadywali. Ustęp ten byłby bardzo cennym, gdyby nie był naciąganym; popsuł też dobre wrażenie poprzednich, bardzo zręcznych argumentów, nie dlatego, iż protokół ów nie kwalifikuje się do druku (jak krzyczało kilku niezbyt mądrych przeciwników), lecz że był nudny, a przytoczenie go słabo upozorowane. Nawet dowcip może się przejeść, jeśli ten sam w najrozmaitszej postaci podawać.

Trzecim wykładem prelegent zatarł w części niemiły odsmak poprzedniego. Teraz miał już do czynienia z przeszłością niezbyt odległą, bo rozpoczynającą się rokiem 1840. Wtedy to Lafontaine, wnuk znakomitego bajkopisarza, wykładami zjednywa sobie rozgłos szeroki w Anglii. Wkrótce potem świta okres hypnotyzmu, mający okupić błędy magnetyzmu. Zwiastunem jego dr Braid, który odkrywa wpływ wpatrywania się w przedmiot świecący i dla objaśnienia go przyjmuje teoryę zmęczenia mięśni wzrokowych, czyli działania czysto mięśniowego, któremu ma towarzyszyć zwykle możność normalnego porozumiewania się z osobą poddaną doświadczeniu. Braid stosował też hypnotyzm w szerokim zakresie do leczenia i w dziele swem przytacza aż 69 wypadków uleczenia chorych tą metodą. On to przeprowadził granicę między magnetyzmem a hypnotyzmem. Dwa te pojęcia często bywają słabo rozróżniane, co skłania dr. Ochorowicza do wyłuszczenia, na czem różnica między niemi polega.

W sen hypnotyczny wprawić można tylko osobnika odpowiednio wrażliwego, a takich jest nie więcej jak 33%.

W stan magnetyczny może być wprawiony każdy, ale nie przez każdego. Pierwszy nie wymaga osobistego, psychicznego działania eksperymentatora, a tylko pewnych manipulacyj specyalnych; drugi natomiast zależy całkowicie od indywidualności magnetyzera. Będąc skutkiem wpływu organizmu zdrowego na upośledzony, przez ludzi słabych praktykowany być nie może.

Różnica ta określa zarazem, kiedy stosować się daje hypnotyzm. Oczywiście nie w pewnych, z góry łatwych do wyliczenia chorobach, a jeno w pewnych wypadkach, czyli wtedy, kiedy nerwy pacyenta usposobione są do hypnozy. Mniemanie o szczególnej i wyłącznej podatności chorób nerwowych — jest błędnem, jest wynikiem nieumiejętnego nazwania hypnozy — snem nerwowym.

Ponieważ nauka szkolna systematycznie zamykała oczy na zjawiska hypnotyzmu i magnetyzmu, przeto były one wielokrotnie odkrywane przez różnych obserwatorów całkiem samoistnie i niezależnie od postrzeżeń dawniejszych. Wielką liczbą takich odkrywców powiększyli w drugiej połowie stulecia Champignon i de Brac. W r. 1860 ponawiają się próby znieczulania magnetyzmem dla celów chirurgicznych, do czego skłoniło słynnego antropologa Broca i chirurga Velpeau parę wypadków śmierci pod chloroformem. Że jednak nie wszystkich znieczulać można do należytego stopnia (15%), hypnotyzm idzie w kąt.

Wkrótce potem wydobywa go z zapomnienia dr Liébault z Nancy, autor klasycznego dzieła o suggestyi.

Uczony ten wychodzi z zasady, iż magnetyzer, działając na osobę chorą, może rozmaitemi manipulacyami pomagać naturze do uzdrowienia organizmu—stosuje go więc w szerokim zakresie. Szczególniej udają mu się doświadczenia czynione nad dziećmi. Na 45 dzieci chorych na różne przypadłości, jak febra, koklusz itd., otrzymał tyleż wypadków zupełnego uzdrowienia. Prelegent jest zdania, iż ten rodzaj praktycznych zastosowań jest jednym z najwłaściwszych. Oddziaływanie prądów nerwowych lekarza przy odpowiednich poruszeniach na dziecko pogrążone w śnie, łatwo stwierdzić: ujawnia się ono drgawkami itp. symptomatami i niema nic nieprawdopodobnego, że matki i piastunki pieszczotami swemi często bezwiednie łagodzą cierpienia dzieciom.

Szkole Liébaulta dr Ochorowicz przeciwstawił szkołę Charcota w szpitalu Salpetrière. Ta ostatnia, powołana do życia sensacyjnemi przedstawieniami Donata, a osłoniona powagą imienia Charcota, zapewniła magnetyzmowi i hypnotyzmowi prawo oby-

---

dyrektorem orkiestry. Jeśli ma tak czuły honor, niech fabrykuje mapy heraldyczne, a nie papier. Wzdycha, stęka, wije się, jak u dyabła na widelcu. Ja go nie chcę zjeść! Nie jestem pewien, czy bym go zmógł bez pana.

Wydmuchalski.

Po co pan się dąsasz, kiedy ta właśnie wada stanowi w obecnym wypadku jego główną zaletę. Ponieważ go wszyscy znają jako człowieka uczciwego i skrupulatnie ważącego czyn każdy, więc jego imię daje najlepszą markę waszemu przedsięwzięciu, które — możemy to wyznać sobie poufnie— moralnie czystem nie jest.

Kreisler.

Ono moralnem być nie potrzebuje, tylko rozumnem i praktycznem. Ono nie będzie także fioletowem, zimnem, gładkiem, zoologicznem — moralność ma tu tyle do czynienia, co zoologia lub farbiarstwo.

Wydmuchalski.

Tak pan sądzisz, a ogół zastosuje swoją skalę, o ile go nie olśni urok imienia Scibora i nie przekonają nasze artykuły.

Kreisler.

Panie redaktorze, mówmy o czem innem. Papier więc na swoją gazetę dostaje pan o 25 procent taniej.

Wydmuchalski.

Jak wszyscy odbiorcy pańscy.

Kreisler.

Nie jak wszyscy, ja panu ustąpię jeszcze 5 procent — razem 30.

Wydmuchalski.

Skromnie.

Kreisler.

Pan niesprawiedliwy — to da rocznie 500 złr., a w połączeniu ze zniżką ceny 2,500. To jakby znalezione.

Wydmuchalski.

No, przynajmniej część zarobiona.

Kreisler.

Nie przeczę, dlatego dodałem 5 procent.

Wydmuchalski.

Zresztą zgoda.

Kreisler.

Ale co do owych 5 procent tajemnica.

Wydmuchalski.

Potrzebniejsza ona mnie, niż panu. Do widzenia się. Ach... czybyś pan nie był łaskaw dać żonie mojej dziś na wycieczkę za miasto powozu i koni?

Kreisler.

Wszystkie bardzo zajęte... ale przyślę. Więc artykuł będzie jutro?

Wydmuchalski.

Zaraz go napiszę.

Służący (przynosząc Kreislerowi list).

Posłaniec odszedł (*wychodzi*).

Kreisler (otwierając kopertę).

Jeszcze jeden ochotnik do naszej chorągwi. Ciekawym który... Co to? List Justyna, ostrzegający Wiszara o naszych zamiarach!.. Mój syn — mój wróg! Ja go z domu wypędzę, okólnikiem prawo podpisywania firmy odbiorę, jak łajdaka przez publiczne ogłoszenia napiętnuję, a go najpodlejszemu parobkowi opluć każę!..

Wydmuchalski.

Naprzód ochłoń pan, potem zastanów się, skąd ten list dostał się panu.

Kreisler (oglądając kopertę).

Zaadresowana: Kreisler, ręką Wiszara.

Wydmuchalski (czyta list i przewraca kartę).

A widzisz pan, jest dopisek Wiszara.

Kreisler.

Jaki dopisek? (*bierze list i czyta*). „Ostrzeżenie zwracam, gdyż wyrażona w niem życzliwość pańska dla nas prawdopodobnie jest równie rzetelną, jak miłość dla siostry mojej.“ Wiszar Justynowi nie wierzy?

watelstwa w lecznictwie. Jak dotąd jednak nie wychodzi z granic ścisłej empiryki, powstrzymuje się od wszelkich objaśnień, leczy zaś jedynie histeryę. Napomknął też prelegent o hypnotyzmie w Niemczech, gdzie go doświadczano na zwierzętach, oraz o *katapleksyi*, pewnego rodzaju hypnozie, powstałej z przestrachu, a zauważonej przez Prayera.

Widocznem jest, iż prelegent przechyla się sam ku poglądom Liébaulta, który różnostronnem stosowaniem nowej metody więcej mu trafia do przekonania, iż władza ustroju zdrowego nad chorym jest wielką, a władza umysłu osoby poddanej hypnozie na własne jej ciało, wbrew panującej dążności zgłębiania tylko odwrotnego stosunku— jeszcze większa.

Zresztą teoryi swej w odczytach dr Ochorowicz bliżej nie dotykał. Natomiast zaznaczył w końcu doniosłość nowych badań dla psychologii, której nastręczają jedyny sposób robienia doświadczeń na żywym człowieku. Wogóle pomimo oczywistej szermierki z medycyną, której polem były dwa pierwsze wykłady, a z której bogatego materyału niejedno musiało słuchaczom utkwić w pamięci, konkluzya ostateczna mało miała z lecznictwem wspólnego. Wyglądało to dosyć dziwnie, w oczach tych zwłaszcza, którzy mieli sposobność słyszeć już d-ra Ochorowicza w roli żarliwego proroka zupełnej w medycynie rewolucyi. Wiążąc poniekąd teraźniejsze swoje wystąpienie z pionierstwem dotychczasowem, daje on nam prawo uczynienia jednej z wielu nastręczających się uwag o ogólnem jego w hypnotycznych badaniach stanowisku: że sam jeszcze sprawy sobie dokładnie zdać nie może, w jakim stopniu wierzy w reformatorską zdolność hypnotyzmu i magnetyzmu i że dotąd brał kartofel za smaczną gruszkę, wzorem własnych swych mediów... Prawdziwej naukowości poglądy jego jeszcze nie mają, jak jej nie mają zgoła filipiki lekarzów, dyszące namiętnością, pysznięce się lekceważeniem wszelkiego, nawet niezbadanego nowatorstwa i powodujące to, iż sprawozdawcy pewnych pism codziennych kładą dr. Ochorowiczowi w usta wnioski i frazesy, których zatłoczona sala ratusza wcale nie słyszała. Taka dysputa gotowa stać się znaną *Dysputacyą* mnicha i rabina *).

N. H.

*) W tym przedmiocie zamieścimy głos lekarza. *Red.*

KARTKI NAUKOWE.

Z dziejów pojedynku. Humorystyczną kartkę z nich podaje znakomity krytyk teatralny francuzki, Sarcey. Wierzy on jak w żelazne prawo natury, że ilekroć pojedynek z jakiejkolwiek przyczyny nie dojdzie do skutku, rodzi się z niego natychmiast drugi. Będąc jeszcze nowicyuszem w zawodzie literackim, cierpiał Sarcey bezustanne napaści ze strony *Figara*; gdy zaś pewnego razu „zjechał" silnie plan domu schronienia dla inwalidów dziennikarstwa, podany przez Villmessanta, został przezeń wyzwany na pojedynek. Jednak nie przyjął go, pomimo że jeden z przyjaciół upewniał, iż zaraz nazajutrz zmuszony będzie z powodu odmowy bić się z „pierwszym lepszym." Wróżba ziściła się. Ale tym „pierwszym lepszym" był na szczęście Aurelian Scholl, który napadł na Sarceya w jakimś humorystycznym artykule i wyprowadził go z cierpliwości. Sarcey błaga więc owego przyjaciela, ażeby wziął wczorajszych świadków i poszedł z nimi do Scholla. Przyjaciel, kiwając głową, odrzekł: „Muszę iść najpierw sam do Scholla i zapytać go, czy zechce się bić." „Jakto, czy zechce—pyta zdziwiony Sarcey." „A tak, Scholl może odpowiedzieć, że wczorajsza pańska sprawa nie została jeszcze załatwioną." „Do dyabła, ależ w takim razie poślę świadków Villmessantowi!" „Nie przyjmie ich, ponieważ on został obrażony a jego wyzwania nie przyjęliśmy." „Jak więc z tej kropki wydobyć się?" „Zapytam się Scholla." Po pewnym czasie wraca niecierpliwie wyglądany przyjaciel z odpowiedzią: „Scholl jest bardzo uprzejmy, na propozycyę bowiem moją odparł: „Sarcey łaknie pchnięcia szpady i mię do tego wybiera. Przykre mi to jest, no, ale wyświadczyłem już innym podobną przysługę, więc i jemu nie odmówię." „W życiu mojem, kończy Sarcey notatkę swą, nie doznałem większej jak wówczas radości. Kamień ogromny spadł mi z piersi i odetchnąłem swobodniej. Zachowałem na zawsze wdzięczność dla Scholla, gdyż owego dnia wyjął mi wielki kolec z nogi." Wyborny to przyczynek do historyi komedyi, która gwałtem chce być pasowaną na tragedyę.

Björnson i Kjelland, znany czytelnikom z kilku drukowanych w *Prawdzie* utworów, okazali, że są siebie godni. Jak wiadomo, rząd norweski wypłaca znakomitym poetom swego kraju doroczną pensyę, którą przedtem ustanawia Izba deputowanych. Kjelland pomimo wielkiego swego talentu dotąd cennego tego zasiłku nie wyjednał sobie, pomimo iż wielu jego przyjaciół i wielbicieli niezmordowanie o to się starа. W bieżącym roku zachody znowu spełzły na niczem, pomimo że znakomity Björnsterne Björnson zwrócił się ponownie z gorącem wstawiennictwem do parlamentu. Oburzony wreszcie niesprawiedliwością przedstawicieli narodu tenże sam Björnson wysłał do nich następujący adres: „W jednem z podań, wniesionych przezemnie na imię Storthingu norweskiego, dotyczącem pensyi honorowej dla poety Aleksandra Kjellanda, pozwoliłem sobie wyłuszczyć, że powody, dla których odmówiono mu wypłacenia subsydyum dla poetów, w jednakowej mierze zachodzą i co do mnie — i nie wątpię bynajmniej, że Storthing myśl w piśmie mojem zawartą zrozumiał. Wobec losu, jakiego doznaje w dalszym ciągu sprawa Aleksandra Kjellanda, widzę się zmuszonym zrzec się przyjmowania nadal mojego honoraryum poetyckiego. Najpokorniejszy sługa *Björnsterne Björnson.*" Tych protekcya rządu najwidoczniej nie upodliła...

Teatr szwajcarski. Sztuka teatralna nie popłaca dotąd w pięknej Helwecyi. Rozstrzyganie problematów państwowych i społecznych mało zostawiało czasu dla tego rodzaju... zabawek. Sternicy tego kraju to nie tyrani greccy w rodzaju Pizystrata ani książęta włoscy, w stylu Medyceuszów — dla sztuki pięknej mało mają zmysłu. Rejenci szwajcarscy dziś jak i w wieku ubiegłym kochali więcej zdrową pedagogikę a sceny bali się, jako zachęty do „fantazyowania" jako bałamutki młodzieży. Nie zapominali widocznie, że Jubal, od którego wedle herbarza biblijnego pochodzą skrzypkowie i fleciści, sam był potomkiem Kaina, a jeśli i zapominali czasem, to im doktorzy św. teologii dawali żywe napomnienia. Najlepszym dowodem epistoła duchowieństwa zurichskiego, wydana w r. 1730. „Smutne przykłady przekonywają, że ludzie rozmiłowani w komedyi okazują więcej pociągu do dogmatów papieskich, niż do prawdziwej religii." Ku końcowi stulecia, gdy wojska francuzkie wkroczyły do Bazylei, Bernu, Lucerny i Zurichu, przyniosły też z sobą cywilizacyę ojczystą: kawiarnie i teatra. Wtedy nieufność dla tych ostatnich osłabła trochę, choć nie brakło zawziętych przeciwników. Jakiś obywatel niemiec, znany nawet z wolnomyślności, skarżył się „iż na scenie nie widzi bynajmniej owych wysławianych cnót republikańskich, a natomiast widzi rozpanoszenie się na scenie nikczemnych mód, i takie świństwa jak... *Figaro.* Ludzie, zajęci graniem komedyi nie mogą przyczyniać się do poprawy moralnej ogółu — bo o tem myślą na końcu." W owym też burzliwym okresie po raz pierwszy zjawił się pomysł założenia własnego narodowego teatru. Autorem jego był dyrektor trupy artystycznej w Lozannie, Roguin, który prosił tylko o pomieszczenie jakiekolwiek i przywilej na kanton genewski— ale mu odmówiono.

Wydmuchalski.

Naturalnie i tem łatwiej wpadnie w wasz potrzask. Syn mimowoli panu usłużył.

Kreisler.

Tak, rozumujesz pan logiczniej ode mnie, bo nie jesteś ojcem tego bałwana. Dziękuję za otrzeźwienie, byłbym zrobił jakieś paskudstwo. Chociaż Justyn jest dureń. A teraz Kreisler do roboty! Zaraz korespondent rozpisze listy do fabrykantów, a ja wpuszczę w sadzawkę szczupaka. Dziękuję panu...

Wydmuchalski.

Zamilcz pan przed synem o tym liście.

Kreisler.

Tak pan radzisz? Posłucham. Rzeczywiście, on by dalej bazgrał.

Wydmuchalski.

Na konie liczę.

Kreisler.

Żona pańska może się ubierać (*Wydmuchalski wychodzi*).

SCENA VIII.

Kreisler i Wydrek.

Kreisler (*chodzi sam w zamyśleniu po pokoju*).

Gdyby on zrzucił tę miłość... Jeden i taki osioł (*dzwoni — do służącego*). Wydrek jest?

Służący.

Czeka.

Kreisler.

Niech tu przyjdzie (*służący oddala się*).

Wydrek (*wchodzi*).

Padam do nóg jaśnie panu.

Kreisler.

Dziś zgodzisz się do fabryki pana Wiszara. Powiesz, że cię u mnie skrzywdzono i wypędzono. Przyjmij wszelkie warunki i jakiekolwiek zajęcie. Kiedy robotnicy zaczną narzekać na brak pracy i odbytu, przyjdziesz do mnie, ja cię nauczę, co masz im mówić. Tymczasem chwal pana Wiszara.

Wydrek.

A jeżeli nie będą narzekać?

Kreisler.

Czy chcesz wiedzieć, jaki dzień nastąpi po wtorku? Nie bądź zbyt przewidującym. Po wtorku nastąpi środa. Pamiętaj, że mnie możesz zdradzić, a przez to stracić obiecaną zapłatę...

Wydrek.

A co pocznę, gdy mnie nie przyjmą?

Kreisler.

To najmij się do żydów za woziwodę, boś nic nie wart; do mnie nie wracaj.

Wydrek.

Słucham.

SCENA IX.

Kreisler i Sylwia.

Sylwia (*wbiegając*).

Niema pana Ksawerego?

Kreisler.

Odprowadził stryja.

Sylwia.

Przysłano rachunek za trzy tuziny moich ubrań rannych.

Kreisler.

Ile?

Sylwia.

Cztery tysiące złotych reńskich.

Kreisler.

Niech kasyer wypłaci. Każ sobie zrobić jeszcze jeden tuzin na pamiątkę dnia dzisiejszego.

Koniec aktu drugiego.

W r. 1799 wniósł ponownie prośbę do ministra oświaty, Staplera. Ten wyraził zgodę w zasadzie, ale chciał czekać, aż się rzeczpospolita lepiej skonsoliduje, uznał przy tem cały, kształcący języki smak, wpływ teatru. Jednakże i tym razem znaleźli się nieprzychylni. Tak nawet światły człowiek, jak zurichski senator Usteri twierdził, „że widowiska wychowują pokolenie żądne przyjemnostek i zniewieściałe“ a jakiś kolega jego, „że na całym globie ziemskim nigdy jeszcze naród żaden nie doczekał się umoralnienia od komedyj.“ Zapieczętowano protest ogólnem prawem, wprost wzbraniającem teatrów, po długich i gorących rozprawach i wbrew większości senatu. Po raz trzeci ponowił swe próby Roguin we dwa lata później, obowiązując się przyjmować na artystów tylko ojców rodzin oraz ustanowić jaknajwiększe ceny. Ponieważ z góry powiał wiatr wsteczny, przeto dowodził on, dla zjednania sobie sfer rządzących, iż głównym celem teatru narodowego byłoby rozwiązanie klubów politycznych — i to nie pomogło. Dotąd jeszcze Szwajcarya posiłkuje się i to nie często i nie wszędzie trupami przyjezdnemi.

Archeologia. Berlińskiemu towarzystwu archeologicznemu zakomunikował niedawno Virchow ciekawe odkrycie. W miejscowości Butzke, niedaleko Belgardu, w Pomeranii, przy rozkopywaniu torfu natrafiono na znaczną liczbę przedziurawionych kawałków bursztynu. Lemcke zarządził poszukiwania dalsze, których owocem było przeszło 800 pereł bursztynowych najrozmaitszego rodzaju, około 100 dużego kalibru paciorek rzymskich ze szkła, glinki i emalii, tkaninę z drutu złotego, wagi około 6,5 gramów, dwa rzymskie denary z czasów Wespazyana i wiele innych przedmiotów, pochodzących widocznie z drugiego stulecia po Chrystusie. Obok bursztynów, starannie obrobionych i wykończonych zupełnie, znaleziono też sztuki całkiem surowe, tylko przedziurawione stożkowato, dalej niedokończone i napół obrobione. W samem torfowisku napotkano ślady jakiejś kolonii ludzkiej: czerepki statków domowych, dobrze zachowaną warząchew (czerpaczkę), odłamy kołów w wielkiej liczbie i grzęznące w torfie kawały gliny palonej. Jest to zatem pierwszy ślad pracowni bursztynowej w głębi lądu, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa obrabiano bursztyn kopany. Domysł potwierdza i ta okoliczność, że brzeg morski odległy jest od miejsca odkrycia o dwie mile i w bursztyn bynajmniej nie obfituje. Przypuszczają (czasopismo *Humboldt*), że warsztat ów znajduje się w związku ze starożytną drogą handlową, która, według Giesebrechta, miejscowość tę przerzynała.

Olbrzymi meteor. Teraz dopiero doszła astronomów europejskich wiadomość o nadzwyczajnej wielkości aerolicie, który zauważono 17 marca pomiędzy godziną 4 a 5 po południu w australijskiej prowincyi Wiktorya. Mknął on ze wschodu na zachód, zostawiając za sobą biało-srebrną smugę. Bliżej położonym miejscowościom przedstawiał się w postaci kuli ognistej, pomimo jasnego nieba i pełnego blasku słońca widzialny z odległości 400 mil angielskich. Z głośnym, powtarzającym się hukiem meteor eksplodował i zostawił po sobie trwający pół godziny biało-szary dym, w którego szczególnem świetle wszystkie przedmioty okoliczne przybrały barwę zielonawą. Wybuch nastąpił przypuszczalnie nad miastem Beaufort. Stamtąd też dostrzeżono trysnięcie z meteoru snopu ognia, połączone ze świstem, przypominającym syk pary w kotłach maszyn. Przytem wstrząśnienie powietrza było tak wielkie, że udzieliło się ziemi i wywołało zjawiska, właściwe zazwyczaj tylko trzęsieniom wulkanicznym. Domy się zachwiały, okna zabrzękły, konie i bydło w szalonym pędzie uciekło ze stajen i obór, a nawet dzikie ptactwo morskie w popłochu wzbiło się w górę. Jak się zdaje, żadne substancye meteoryczne na ziemię nie spadły. Jeden z przytomniejszych świadków zdarzenia podaje, iż widział eksplozyę meteoru na wysokości 30° nad horyzontem a huk usłyszał w sześć minut, dokładnie obliczonych, później.

Jeśli zważyć, że w wyższych, chłodniejszych warstwach atmosfery dźwięk przenosi się wolniej, niż w dolnych, możnaby wywnioskować, iż wybuch nastąpił na wysokości mniej więcej 50-u kilometrów nad powierzchnią ziemi.

Słownik anatomiczny. Istniejące w Berlinie od r. 1886 Towarzystwo anatomiczne postanowiło zająć się ujednostajnieniem nomenklatury w nauce rozczłonkowania ciała ludzkiego. Dawniej jeszcze nad reformą tą przemyśliwano, lecz że inicyatywa wychodziła zazwyczaj od osób pojedynczych, np. znakomitego anatoma Jakóba Henlesa, przeto usiłowania spełzały na niczem. Teraz jednakże specyaliści z różnych krajów zrozumieli całą konieczność wprowadzenia zgodności w terminologii, która dotąd nie na jednej, lecz równocześnie na wielu opiera się zasadach. Stanowi ona pstrą mieszaninę kilku zaledwie trafnych nazw i określeń z mnóstwem dziwacznych i nieudatnie dobranych oraz całkiem dowolnie zastosowanych wyrazów. Tylko historyczny przegląd anatomii może dać jakie takie pojęcie o sposobach, jakimi terminologia ta tworzyła się, i skąd owe najrozmaitsze żywioły brały się. Tak np. wiadomo, że każdy wiek dorzucał swoją wiązankę odkryć i całkiem nowe zasady oznaczania członków i organów. Czasy średniowieczyzny przekazały wiele imion pochodzenia religijnego i mistycznego, jak *morsus diaboli*, jabłko Adamowe, lira Dawidowa, psałterz. Wiele też nazw przeszło z mitologii starożytnej np. pięta Achilesowa, róg Amenona, Iris itd. Dużo wzięto ze świata roślinnego i zwierzęcego, jak: migdały, drzewo życia itp. Reforma teraz przedsiębrana, głównie pod kierownictwem prof. Hissa z Lipska, wymagać będzie wiele pracy, ale przyniesie korzyść nietylko samej anatomii i medycynie, bo uczyni zadosyć potrzebom zdrowej i racyonalnej filologii oraz duchowi czasu.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

(Dokończenie).

Czwartym martyrologii tej przyczynkiem jest *Panna Antonina* — pomysł nawskróś rzeczywisty i na gruncie szerokiej idei postawiony, ale idei od poprzednich całkiem różnej. Wyobraża on jedną z ofiar usamowolnienia kobiet, nauczycielkę, która z zapałem uczepiwszy się godła niezależnej i samoistnej pracy—nie posiada ani istotnego wykształcenia, ani wrodzonej inteligencyi, i całe życie spędza na uzupełnianiu wiedzy swej mechanicznem czytaniem wszelkich napotkanych dzieł oraz nauczaniu dzieci. Surowa i nieubłagana dla siebie, łaknie jednocześnie w samotności swej jakiegoś ciepła. Ale gdy tylko przywiąże się do kogoś, wnet traci miejsce i szukać musi innego. Tłucze się po świecie ta żałosna mieszanina zabawnego fanatyzmu dla pracy nauczycielskiej, staropanieństwa, sieroctwa i poświęcenia, aż kończy marny żywot w szpitalu, słodząc sobie chwile zgonu widokiem zawiędłych jakichś pamiątek zawiędłej jakiejś miłości. To męczennica prawdziwa, jedna z tych, z którémi wielkie miasta dobrze są obeznane, a pod względem psychologicznym — portret wyborny. Niewątpliwie hasło samodzielności kobiet musiało wydać najpierw pokolenie bojowniczek, nierozumiejących go jeszcze, ale w ziszczaniu żarliwych — więc nieszczęsnych.

Dobra pani zawiera obok pierwiastku cierpienia i sporo ironii. Dziecię, przytulone przez jakichś poczciwych prostaków, spodobało się pięknej i bogatej damie i zostało jej bawidełkiem. Był to kaprys nie pierwszy tego rodzaju, a więc i nie ostatni. Po namiętnych pieszczotach, wśród których dziewczyna zniewieściała i do zbytków przywykła — nadeszło zobojętnienie i wreszcie porzucenie. Faworytka w strzępach dawnych strojów znajduje się na nowo w chłopskiej chacie, głodna, bo jadło grube przejmowało ją wstrętem, ziębnąca, bo ją niebo włoskie i ciepłe pokoje pałacu — wydelikatniły, aż pewnego razu opiekun podniósł ją śpiącą na deszczu, pod oknami byłej dobrodziejki, obok psiny, która takie same przeszła koleje. I tu żal niezmierny i tęsknota za utraconem szczęściem jest nutą górującą. Kolorytem swym wytwornym a rzewnym, powieść przypomina nowelę Heysego i jak one ma w sobie coś z czarownej ballady, w której więcej jest poezyi niż prozy.

Mniej już budzą zajęcia pozostałe utwory. *Przy dochodzeniu śledczem*—jest doktryną, nienajszczęśliwiej ujętą w formę powieści. Rozpraw etyczno-społecznych tam wiele, a działania mało. Sędzia inkwirent, człowiek przejęty ideami współczesnego humanizmu, utwierdza się w przekonaniu, iż ciemięztwo klas uprzywilejowanych nad ludem nie tyle wpływa z złej woli ile z przyczyn dziejowych, od nich niezależnych. W chwili gdy w liście obszernym, dla czytelnika stanowczo za obszernym, zwierza się przyjacielowi z swych poglądów, przyprowadzają mu podejrzanego o kradzież żebraka podkościelnego. Jest to prawdziwy obraz nędzy, rozpaczy i utajonej przebiegłości, wytworzonych przez „niesprawiedliwość i złość ludzką.“ Stary, będąc chłopcem pańszczyźnianym narwańca-obywatela, padł ofiarą jego i ekonomów okrucieństwa i zeszedł na ostatni stopień niedoli ludzkiej. A obywatelem tym był własny ojciec sędziego. Bolesna ta niespodzianka, kończąca pełne gorzkich wspomnień zeznania badanego, zapewniła tryumf idei niepoczytalności i społecznego determinizmu. Zasadnicza myśl, jako prawda filozoficzna, nie potrzebuje zgoła dowodów z beletrystyki; ze stanowiska moralnego dosyć mało przekonywa i zachęca do wyrozumiałości już zanadto... czulostkowej.

Czysto kobieca ideologia wyziera z *A B C*, bo niczem innem, jak szlachetnym zapałem, usprawiedliwić się nie da możliwość takiego oto rzewnego dramatu. Biedną panienkę, nieświadomą prawa, za niedozwolone nauczanie dzieci sądy galicyjskie skazały na ciężkie grzywny, a brat jej, zamierający w ciężkiej również pracy na chleb, płaci je pożyczonemi od lichwiarza pieniędzmi. Poświęcenie to walczy z miłością siostry, która konieczne chce karę swoją odpokutować aresztem. Gdy już ofiarę zgodziła się przyjąć, nachodzi ją ponownie dziatwa, i choć brat rozgoryczony wpada w gniew, jednak sam w końcu mięknie, wystraszone maleństwo częstuje jeszcze herbatą i rozpoczyna się na nowo *a... b... c...*

Wreszcie słówko o *Tadeuszu*. Być może iż i tutaj tkwi jakaś myśl, ale ją trudno dostrzedz. Barwnym stylem opowiedziany wypadek z dzieckiem chłopskiem, które niedopilnowane przez rodziców podczas robót w polu, zawlokło się nad strumień i w nim utonęło, wzrusza niewątpliwie miękie serca, ale tematu do skargi nie daje, chyba do skargi na głupotę wieśniaczą. Znakomita powieściopisarka niekiedy za włosy wyciąga na wierzch niedole, ażeby módz nad czem litować się. Zresztą może w nowelce tej szło jedynie o namalowanie pięknego obrazka letniego, lub psychologii dziecka: w takim razie cel dopięty zupełnie.

Ale tej krzty przesady żaden estetyk nie policzy chyba p. Orzeszkowej za przestępstwo, bo jest naturalną. Wbrew twierdzeniu pani de Staël, że geniusz jest bezpłciowy, koleżanki jej po piórze wszystkie prawie świadczą, iż są bardzo, czasem nawet za bardzo kobietami. (Ha, może zresztą bezpłciowość jest przywilejem wyłącznym geniuszu — nieprzysługującym już talentom). To pewna, że streszczone tu nowelki p. Orzeszkowej, odsłaniając wiele rysów jej fizyognomii duchowej, ukazują nasamprzód niesłychaną tkliwość na wszelkie cierpienie

i poniżenie. Nie ma tam ani jednej bajki świetlanej: wszędzie łzy i łzy, jawne i tajone. Nie wszyscy jednakowo sympatyę tę sobie zjednali: jeno maluczcy, wzgardzeni, sponiewierani przez nienawiść lub głupotę ludzką, zgnębieni przez bezwzględne przepisy społecznego bytu. Kmieć, niemowlę, tułacz, żyd, robotnik, skazaniec, oto czeladka, nad którą autorka *Nizin* prawdziwie opiekuńcze rozpościera skrzydła. Ma ona odwagę zajrzeć w samo piekło Dantejskie dzisiejszych czasów, niezrażona żadnym trądem nędzy. Z osobliwą lubością zaziera jej w serce i wszystkie jęki i łkania na jaw wydobywa, wołając: patrzcie, co się dzieje w tych zaprzepaszczonych podziemiach ucywilizowanego świata!

Czyż potrzeba dodawać, że ci wybrańcy nieszczęścia, choć nie tak kolosalni, jak bohaterowie Wiktora Hugo, a może właśnie dlatego — są istotami z krwi i z ciała? P. Orzeszkowa należy do umysłów szerokich i niebrzydzących się tem, co piękno współczesne nastręcza dobrego; ceni plastykę wysoko, skoro nieraz tak wybornie umie ją odtwarzać. Są pewne pierwiastki, pewne tła i koloryty, jak wnętrza chat wiejskich, jak sylwetki chłopek i chłopów, które z pod pióra jej wychodzą skończone. Nie znaczy to jednak, ażeby i owe dramata nizinne były wiernemi odbiciami rzeczywistości. Bynajmniej, to nie fotografie społeczne a poematy, niekiedy nawet świadomie używające symboliki poetyckiej. Tak np. *W zimowy wieczór* rozpoczyna się tym samym dosłownie opisem ponurej pustyni śnieżnej, śród której sunie cień stęsknionego za domem zbrodniarza, jaki kończy opowiadanie. Liściem miotanym przez wichry jesienne był— liściem takim, wygnany przez swoich, został na nowo. A *Gedali* z swymi snami Jakóba? Zupełnie toż samo. Wszędzie jakiś motyw głęboki, znamienny, płaczem nabrzmiały, przewija się przez pstrociznę powieści, powtarza parękroć, łącząc liryzm muzyki z plastyką poezyi.

I nie dziwnego, poezya to apostolstwa, humanizmu szczytnego, miłości powszechnej, o której powiedział już stary Fredro:

Miłość, co jednym wieńcem objęła świat cały,
Przejmuje łono wieszcza i więdnie do chwały —
Miłość przez jego usta sama siebie głosi!

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

PO ŚWIECIE.

IV.

Pogoń za wlosną. — Kilka stacyj Atlantyku i Śródziemnego morza.

Powiada się w Hiszpanii, że kiedy przypadkiem śród śnieżycy zahuczy grzmot, znak to, że zima kark skręciła. Gdzież tam! Zdarzyło mi się obserwować dziwne to zjawisko w porze, która się tam zowie już wiosenną, a wnet potem zasypały mię śniegi w Pyrenejach. Cała południowa Francya, choć tak republikańska, musiała ścierpieć na sobie gronostajowy płaszcz; nawet w Nizzy poczuli się anglicy pierwszy raz „jak w domu.“ Słowem, kto w tym miesiącu marcu, w którym to, jak mówi poeta, „natura milczkiem przygotowuje wiosnę“— zniecierpliwiony chciał obaczyć maj, płynął dalej na południe: do Walencyi, do Sewilli. Ach, tam jedynie nie zawodzi nigdy niebo; tam słońce jak punktualna gospodyni w naznaczoną porę dojrzałą cytrynę na stół przynosi. Gdybym zdołał czytelniku uszczknąć dla cię — nie cytrynę, ale z tego dobrego słońca promieni kilka; a malarzowi południowych nieb przesłać ultramaryny tutkę; a domorosłemu kompozytorowi tarantel wpoić w ucho te przeciągłe, drżące tonami melodye (podobne, jeżeli śpiewakiem nie jest rodzony sewilczyk, do baraniego beku) — w których się uzmysławia cała skala miłosnej tęsknoty, pożądania i pasyi, wyciągana w górę pod jedną *fermatą* aż do nabrzmienia żył na skroni, aż do wydarcia z piersi ostatniego tchnienia; gdybym mógł przynieść tancerce gibkie biodra andaluskiej dziewczyny, a bledziuniom naszym trochę ognia, a restauratorowi prawdziwe wino z Jeresu... stworzylibyśmy sobie sielankę Antoniego Trueba — no i nie ma co, byli szczęśliwsi. Jakiś szalony żal, jakaś wściekła zazdrość ogarnia cię na widok tylu cudów, których nam bez racyi poskąpiono i zaczyna w tobie grać ta sama teutońska chciwość, matka historyi, która parła gotów i wandalów ku krainom podpatrzonym przez kurtynę gór. Nie dziw, że południowcy posuwają cześć słońca aż do fetyszyzmu; kto z was przepędzi tam lat kilka, spostrzeże w sobie niezawodnie rodzącą się tę samą skłonność pogańską.

W czem polega istotna szczęśliwość owego ludu, to w zupełnej pogardzie uwygodnienia bytu; hiszpan— mówię o mieszkańcu Kastylii lub Andaluzyi— pogląda z wyniosłym lekceważeniem na każdego, któremu do odżywiania się potrzeba więcej nad pomarańcz kilka lub kawał melonu, garść morskich ślimaków, rybę smażoną w oliwie, kęs białego chleba i szklankę wina. Gitary nie wypuszcza z ręki, usta otwiera jedynie do śpiewu lub żartu, a nie ma chyba na świecie drugiego ludu z tak nieznużonym dowcipem; mowa jego snuje żart po żarcie w przysłowiach, kalemburach, oryginalnych porównaniach i obrazach. W tym względzie madrytczykowi lub sewilczykowi sprosta chyba paryżanin. Powiastki z ludowego życia Andaluzyi Fernanda Caballero lub nowele Antoniego Trueba lub wreszcie niedościgniony Sanczo Pansa, z którego osobistych przysłów można złożyć całą książkę, dadzą nam doskonałe pojęcie tego typu i tej swady.

Cała dzisiejsza powieść hiszpańska rozwija się w kierunku realistycznym; z lektury tej sprawdzanej własnemi spostrzeżeniami otrzyma turysta przybliżony obraz kraju i rozwieje mnóstwo, godnych uśmiechu błędnych wyobrażeń. Jednem z takich jest utarta w naszym dykcyonarzu— a nietylko w naszym, ale i w francuzkim — tak zwana namiętność hiszpańska. Niejedna nerwowa francuzka dama, z tych, które lubi brać Paweł Bourget do swych psychologicznych powieści, chorobliwie żądna ustawicznych wrażeń, rozczarowałaby się, spodziewając po swym kochanku z nad Gwadalkwiwiru—jakby to rzec... nadnaturalnej wytrzymałości fizycznej. O, pod tym względem polacy, rosyanie i węgrzy posiadają reputacyę niekradzioną. Przez namiętność hiszpańską rozumieć należy raczej: przywiązanie, niż pożądanie. Nigdzie nie spotyka się tak wieloletnich narzeczonych. Młody chłopiec przysięga miłość dziewczynie i przysięgę tę odnawia co dnia przez lat dziesięć. Spotykają się rano przed kościołem, popołudniu na przechadzce, wieczorem, ba, do późnej nocy, lub do wczesnego rana pod balkonem lub u kraty okna (gdyż rodzice panny, nie broniąc jej zalotów, uważają, bądź co bądź, taki sposób rozmowy za bezpieczniejszy), powtarza jej jeszcze: *Te quiero, azucena mia* i wyśpiewuje serenady, szczypiąc mandolinę; wreszcie żeni się, zachowawszy przez lat tyle wierność gołębią (aby użyć znów przyjętego porównania, gdyż i to jest kłamstwem, jak sam sprawdziłem mieszkając w mej wróblej epoce tuż przy gołębniku) — i w rezultacie mimo tę przedślubną wstrzemięźliwość ziarnkami nadmorskiego piasku głów swej rodziny nie liczy. Nawet w pozaślubnych stosunkach, materyi „delikatnej“ — jak mówi poeta — więc nietrwałej przywiązanie jego zachowuje się przez lata i lata; wyrażenie: zazdrosny, jak hiszpan, jest tylko odbiciem drugiego: wierny jak hiszpan.

A oto czytelniku szlak twój, jeżeli kiedy wybierzesz się oglądać Andaluzyę: wybierzesz się zaś, nie aby zadowolić zachciankę romantyczną, jak Teofil Gautier podróżujący w hiszpańskim stroju i na każdym skręcie drogi oczekujący naprożno bandytów, lecz by obaczyć choć raz w życiu jeden z najpiękniejszych kątów tego świata, który, jak uczy Pismo święte, jest stworzony gwoli człowieka; by sprawdzić, że nie taki on czarny przecież, jak go malował ten półwaryat Schopenhauer i ten nieszczęśliwy kaleka Leopardi; by się wreszcie tym ciepłem tchnieniem od morza napoić, wonią pomarańczowych gajów przesiąc i potem— daruj mi porównanie zbyt homeryckie czy dantejskie — czerpać z zapasów tych, jak czerpie wodę z pełnego pęcherza wielbłąd pustynny. Z Genui lub Marsylii zaniesie cię tam statek parowy w dniach ośmiu, wysadzając po drodze w Barcelonie, ogromnej katalańskiej stolicy, co przylgnęła do Monjuichu, jak wyrzucona morzem koncha perłowa; w Walencyi, gdzie obaczysz najautentyczniejszy typ arabski, Cyda Campeadora wspomnisz i skosztujesz najlepszych w świecie owoców; w Maladze, gdzie zadziwisz się oliwkowym twarzom o najszlachetniejszym profilu i nie będziesz chciał oderwać oczu od ziemi, poglądając na drobne nóżki, zalotnie bose, a stąpające w atłasowych pantofelkach z całym wdziękiem świadomej wartości; w Kadyksie, gdzie będziesz się wspinał po ulicach idących w górę pod kątem 45° i kończących się gdzieś w niebie i gdzie obaczysz najczarniejsze efekty walki trzech barw: śnieżnej barwy murów, szafirowego nieba i turkusowego morza; wreszcie rzeką o piękniejszem, rzec trzeba, nazwisku niż wodzie wpłyniesz gładko do sewilskiego portu. W Gibraltarze zazwyczaj parowce nie zatrzymują się, zresztą dla turysty to zbyteczne; najwspanialej przedstawia się ten kamienny kolos co niegdyś podawał ramiona Afryce—od strony morza.

Dyalekt sewilczyków trudny jest zrazu do pochwycenia; mówią bardzo prędko, miękko i pieszczotliwie, wypuszczając często międzysamozgłoskowe *d* i *r* oraz mięcząc *l* na *i*; przytem mnóstwo wyrazów miejscowych i ów sposób wyrażania się w przysłowiach i obrazach utrudniają porozumienie się; cudzoziemiec obraca się onieśmielony, nigdy pewnym nie będąc, czy doń mówią żartem, czy na seryo. Nieszczęśliwy ten, kto nie pozbędzie się, ile można, pozorów turysty: andaluzyjczyk nie lubi zupełnie, gdy się pogląda na jego domowe bogi jak na przedmiot wystawy; zresztą jest nader gościnny, podobny w tym względzie zupełnie do francuza; umiej być zupełnie swobodnym i otwartym w obejściu, a obaczysz, jak natychmiast te okolone czarnemi brodami twarze z podejrzliwych przemienią się w jaśniejące przychylnością.

Przestrzegę cię jednak — bo i czemu nie przestrzedz! Wściągaj afekty twe w granicach milczącego podziwu: jeżeli przedmiot twego zachwytu jest uczciwy, ma bezwątpienia — bo wstydem tam jest nie mieć — wiernego, w guście tych, jak wyżej opisałem — kochanka, a wtedy grozi ci wcale naturalnym tamże obyczajem *una puñalada*, tj. cios nożem, który z składaną rękojeścią przedstawia długość 1—1½ łokcia i zwie się *navaja* (nawaha); jeśli jest płochy, będzie zapewne należał do pospolitego tam typu Carmeny w operze Bizeta trafionego tylko na pół-szczęśliwie. Istoty te są niszczycielkami z instynktu; twoja piękna najcenniejszy bukiet w zębach machinalnie rozgryzie, najdroższe cacko stłucze i do wody rzuci, patrząc, jak się niem zabawiają ryby i wreszcie prędzej, niż zdołasz w skarbie twym rozejrzeć się, odfrunie. Odwiedziwszy Alkazar i Katedrę i Giroldę i Plaza de Toros nie zapomnij o sławnej fabryce cygar, choćby dla spostrzowania wspomnień, jakie ci pozostały z teatralnych dekoracyj. Nieprawdaż, jak łudząco oddany w nich miejscowy ko-

loryt? Jak rodzime tańce i stroje chóru, któro widziałeś już raz w *Wolnym strzelcu* a raz w *Aidzie?*.. Przypomina mi to jedną operę, gdzie w przekładzie słyszy się:

Ach spieszmy Ewelino,
Gitana słyszeć czas;
Z nadobną *Mandoliną*
Bolero wzywa nas!

Równie mało andaluska w większej swej części jest i opera Bizeta; oceniono trafnie jej *Gaditanizm*, wygwizdawszy w Madrycie, gdzie nawet przyszło do rozruchów, i wyśmiawszy w Barcelonie.

Za miesiąc lub dwa zaroi się to ostatnie miasto cudzoziemcami; wystawa barcelońska po szczęśliwem zażegnaniu wojny rokuje niejakie powodzenie, nie tyle może dla swych działów przemysłowego i artystycznego, gdyż te zakreślone na olbrzymie rozmiary nie zapełnią się nigdy, ile dla szczęśliwie pomyślanego programu uroczystości pozawystawowych. Sąsiedzi, mając ułatwione przejazdy z Marsylii i Genui nie omieszkają z pewnością obaczyć jedynych w swoim rodzaju literackich turniejów (*juegos florales*), gdzie to za najlepsze utwory w języku katalańskim wygrywa się złote róże, fiołki, stokrótki obok cennych nagród w brzęczącej monecie, choć pierwszą nagrodę stanowi— nie zgadniecie! — kwiat naturalny, dający równocześnie prawo wybierania królowej. Do areny byków zstąpią niezawodnie najlepsze „szpady“ półwyspu: Frascuelo, Mazzantini itd.; średniowieczny, na wzór florenckiego karuzel odwoła pamięć potężnej Katalanii złączonej pod berłem aragońskiem w niezawisłe państwo. Powiem wam jednak na ucho: nie wierzcie we wszystkiem rozsyłanemu po krańce świata organowi *Exposicion Universal*. Kilka miesięcy temu, widząc w ilustracyach olśniewający Pałac przemysłu — obaczmy! mówię sobie. Przybywam na miejsce i spostrzegam robotę około fundamentów pod gmach niezmiernej wielkości. Gdzież pałac? W projekcie. Podobnie owa sławna wieża wyższa od Eifflowej, bo do 350 metrów wznieść się mająca. Miejsce jeszcze pod nią niewybrane. Nie trzeba bowiem zapominać, że Hiszpania leży w sąsiedztwie Gaskonii i Tarasconu...

Mimo to jedź do Barcelony w maju; ponieważ mieszczanie ostrzą już zęby na cudzoziemskie worki, nie zamieszkuj w stolicy, ale na przedmieściu, a raczej w miasteczkach Sarria lub San Gervasio, skąd cudny widok na miasto, góry i morze. Kolej miejscowa ułatwia komunikacyę każdej minuty.

Mnie spieszno dalej; już łagodne fale niosą okręt mój na rękach lekko i ostrożnie; sine góry lecą w tył; rozsypane po nich jak płatki papieru wsie i miasteczka rozmrużają się rankiem w mgle wilgotnej; na przodzie jak balon czerwony, eliptyczny, robiący bokami buja się po nad różowo pręgowaną falą słońce. Oto Nowy port Marsylii, jedynie piękna rzecz niemiłego miasta, ze swemi latarniami, fortecą i katedrą okopuloną jak cerkiew. Potem wzdłuż najsłoneczniejszego wybrzeża Francyi, tunelami otwierającymi się tylko na to, aby raz morze a raz marmurowe miasta pokazać, dążę ku Italii. Jak tam odrazu na wstępie biją w oczy dwie nędze: wieśniacza i królewska. Bordighera dotąd pokazuje podróżnikowi popękane w trzęsieniu ziemi mury, jak łachman biedacki, a dalej w San Remo opuszczona już cesarska willa otwartemi oknami wydycha resztki smutku i szpitalnej woni. San Remo, to kraina fiołków; szkoda że już je zaczynają nosić Niemcy w dziurkach od guzika. Lubiłem lilię, obrzydziły mi ją obrazki ze świętym Józefem i Burboni; lubiłem bławat, nabrałem do nich wstrętu dzięki niemkom; lubiłem listki bluszczu, póki nie spostrzegłem — o zgrozo — że to roślina angielskich sawantek, zazwyczaj starych, niezważających, że to równocześnie kochanek ruin. Cóż mi pozostaje? Chyba irlandzki konicz... Ha, i owszem.

Egrot.

LIBERUM VETO.

Nastrój świąteczny. — Powinszowanie dla p. Jeske-Choińskiego. — Kilka dziurawych orzechów, na których wygrywa swe melodye krytyczne. — Grecy pozbawieni etyki, Locke obdarzony tytułem reformatora a Fouillé orderem Spencerowskim. — Pełnia i nów. — Wspomnienia o Kraszewskim Jeża. — Stańczyk krakowski.

O ile z bardzo skąpego doświadczenia sądzić mogę, tegoroczne święta miały nastrój niezwykle poważny. Nogi nie drgały ochotą i nadzieją tańca, a głowy rozmyślały. Widziałem panienki, które przy wymianie życzeń mówiły tak, jak by mówił Lukrecyusz, gdyby żył w Rzymie za czasów Leona XIII; widziałem katoliczki wysławiające... kalwinizm, a co dziwniejsza — widziałem jezuitę, który zebranym wykładał filozofię Heraklita. „Nic ma stałości we wszechświecie — dowodził on — wszystko jest w ciągłym ruchu, w przemianach. Nie można powiedzieć, że coś jest, tylko staje się. Zmysły nas mylą, dostrzegając byt trwały. Teraz obchodzicie państwo Wielkanoc 1 kwietnia, w roku zeszłym tego dnia przypadał zwykły piątek ze św. Teodorem i Hugonem, a na przyszły—będzie również zwykły poniedziałek, albo nawet coś innego. Dawniej zalecaną była nauka Tomasza z Akwino, teraz— okazała się lepszą teorya Heraklita z domieszką Hobbesa i Machiavela.“ Tak twierdził jezuita, a ze złośliwych jego uśmiechów można było wnosić, że po za nimi ukrył jakąś tajemnicę, którą niedługo pokaże na jaw.

Ale najpoważniejsze święta miał p. T. Jeske - Choiński. Chmielowski bowiem, dzieląc się z nim jajkiem wielkanocnem w *Gazecie polskiej*, złożył mu następujące powinszowanie: „Popisałeś pan mnóstwo rzeczy poprostu niemających najmniejszego sensu; gdyby się zdań pańskich nie czytało wydrukowanych czarno na białem, trudno byłoby uwierzyć, że mogły powstać w głowie rozsądnego człowieka; na seryo można zrobić przypuszczenie, że pan nie rozumiesz tego, co czytasz.“ Właściwie jest to tylko jądro tego powinszowania, gdyż jego łupina znacznie większa, może za wielka. Zobaczywszy w dwu numerach *Gazety polskiej* obszerny artykuł Chmielowskiego o p. Jeske-Choińskim, pomyślałem: po co taka wielka armata na tak małego wróbla! Nie wiem, co „nowo-konserwatyzm“ sądzi o swym „szermierzu,“ ale że po za tą fikcyjną rzeszą ów „szermierz“ w swych krytycznych figlach tylko śmiech budzi, to nic ulega żadnej wątpliwości. Bo chociaż p. Jeske-Choiński śmiało głos zabiera we wszystkich umiejętnościach, od geologii do etyki, wie on tak mało, że „nowo-konserwatyzm,“ jeśli dba istotnie o swą chorągiew, a nadewszystko jeśli rzeczywiście istnieje, powinien złożyć się na stypendyum i wysłać swego „szermierza“ do jakiej szkoły. Czytam jego ćwiczenia rzadko i tylko dla rozweselenia się, gdy pisma humorystyczne nie wychodzą lub ból głowy poważnej pracy przeszkadza; ale nieraz już, ochłonąwszy ze śmiechu, musiałem upewniać się, że to, co czytam, jest istotnie wydrukowanem. Ot posłuchajcie na próbę — z artykułu „Moralność naukowa“ w *Niwie* (zeszyt 305): „Etyka należy do tych nauk, których się krytycyzm (?) *najpóźniej* dotknął. Pierwsi filozofowie greccy, należący do szkoły jońskiej nie zajmowali się prawie wcale moralnością a i eleaci przeszli *obok niej*, nie zastanawiając się nad nią dłużej. Tales, Anaksimander, Anaksimenes, Diogenes apoloński, Pytagoras, Ksenofanes, Parmenides, Zenon, *nawet* Heraklit, Demokryt i Anaksagoras nie zrobili *nic* dla etyki.“ Ta perła wiedzy „szermierza,“ która od biedy może się nawlec na nić tej samej logiki, co np. domysł, że Akropol nie był budową skończoną, bo dziś widzimy tylko jego gruzy, ta perła ma jeszcze blask słaby w porównaniu z następnemi: „Cynicy — ciągnie dalej nasz badacz — stoicy, cyrenaicy i epikurejczycy starali się utworzyć jakiś rodzaj hygieny moralnej... *Luźne* ich uwagi i spostrzeżenia mają w historyi etyki o tyle wartość, o ile w nich można odnaleźć źródło współczesnego *utylitaryzmu*... Jak w wielu innych razach, należy się i w historyi etyki naukowej zaszczyt początkodawcy (?) Lockemu... We Francyi walczy pod sztandarem (poglądów Spencera) Alfred Fouillé...“ Niestety, prasa nasza jest może jedyną, w której tego rodzaju bezsensy drukują się bezkarnie: za granicą byłyby one stanowczo niemożliwe. Gdyby kto zechciał bredzić na przekór wszelkiej prawdzie, nie zestawiłby większej ilości fałszów. Utrzymywać, że grecy, którzy rozwinęli zdumiewające bogactwo systemów etycznych, albo *nic* nie zrobili dla etyki, albo „nieco szlachetniej“ (Plato, Arystoteles) na nią się zapatrywali, albo rzucili „luźne uwagi i spostrzeżenia,“ że stoicy głosili utylitaryzm, że Locke „stworzył nowy kierunek“ w teoryi moralności, że Fouillé walczy pod sztandarem Spencera — może jedynie człowiek, który w życiu swojem nie przeczytał nietylko żadnego z sądzonych filozofów, ale nawet żadnej historyi etyki. Niepodobna mi tu rozłupywać tych wszystkich dziurawych orzechów, na których on wygwizduje swe łajania przeciwko moralności rozwojowej, pozytywistycznej i niezależnej (czarodziejska soczewka jego wiedzy zbiera te trzy promienie w jeden), ale otworzę chociaż parę. Ubliżyłbym najmniej ukształconemu z czytelników *Prawdy*, gdybym go przekonywał, że stoicyzm, jak i epikurcizm lub cynizm, nie był zbiorem „luźnych uwag i spostrzeżeń,“ ale całkowicie rozwiniętym systemem etycznym. Ale czy w nim mieściły się pierwiastki „utylitaryzmu?“ Ani odrobiny. Stoicy całą mądrość życia opierali na cnocie i (wyprzedzając słynną regułę Kanta) zalecali jednostce uważać się za część całości wszechświata. Zenon utrzymywał, że cała filozofia jest tylko etyką. „Powinieneś ciągle o tem myśleć — uczy M. Aureliusz— ażeby ci nikt nie przeszkodził działać i mówić w zgodzie z naturą, której jesteś cząstką (I, 9).“ „Sokrates przez to stał się doskonałym—powiada Epiktet—że we wszystkiem, co go spotkało, zważał tylko na rozum. A chociaż nie jesteś Sokratesem, powinieneś tak żyć, jak gdybyś pragnął nim zostać“ (LI, 1). „Gruntem stoicyzmu—mówi znakomity badacz teoryj etycznych w starożytności i autor wielkiego w tym przedmiocie dzieła, J. Denis — jest *spiritualizm* w moralności, obowiązek i swoboda wewnętrzna, równość wszystkich ludzi i miłość dla nich, rezygnacya, pobożność, łagodność względem losu i tych, którzy nas uciskają. Nie sądzę, ażeby istniała kiedykolwiek teorya bardziej ludzka.“ Ale dość tych dowodów, bo aż wstyd je przytaczać.

Jaką to rolę „początkodawcy“ odegrał Locke w etyce (nie w teoryi poznania) — p. Jeske-Choiński nam nie wyjawił. A szkoda, bo śród wielkich myślicieli ten jest powszechnie przez badaczów uważany za najmniej wpływowego w tej dziedzinie. Tak np. Bain powiada: „nie poświęcił on się rozwinięciu konsekwentnemu jakiejś teoryi etycznej, to też jego poglądy, chociaż wogóle dość zrozumiałe, nie zawsze godzą się z sobą (not always reconcilable with one another — *Theory of Ethics*, 566).“ Zdanie słuszne, gdyż Locke powtórzył tylko bez ścisłego związku dawno znane mniemania.

Przejdźmy do czasów najnowszych. Fouillé ma „walczyć pod sztandarem“ Spencera. „H. Spencer — czytamy w *Crit. des syst. de mor.* Fouillégo — przypuszcza, że niepoznawalne istnieje w naszej świadomości ja-

ko *rzeczywistość*, a nie jako *możliwość* zagadkowa; potem, dopuszczając się niekonsekwencyi, nie daje w swej etyce najmniejszego miejsca tej „rzeczywistości bezwzględnej,“ którą tak łatwo przyjął... Albo metafizyka ewolucyonizmu, albo moralność nie dopisuje tu Spencerowi. ...Zgoda między opinią p. Spencera (co do rodowodu ideału moralnego) a naszą jest niemożliwa... Ewolucyoniści nie zrozumieli dostatecznie, że w człowieku, istocie myślącej, sam ideał staje się jednym z warunków istnienia rzeczywistości. ...Podług nas Kant i Spencer, każdy na swój sposób, przeniewierzyli się zasadzie względności poznania, którą obaj przyjęli: jeden tworzy dogmatyzm moralny, drugi — dogmatyzm metafizyczny“ (VI, 24, 26, 390). Dodać tu winienem, że gdyby p. Jeske-Choiński książkę Fouillégo tylko widział, dostrzegłby w niej osobne rozdziały poświęcone moralności rozwojowej, pozytywnej i niezależnej oraz jej przedstawicielom i nie mieszałby tych trzech teoryi—on, który przecie odróżnia swój „nowo-konserwatyzm“ od konserwatyzmu.

Właściwie nie jest to żaden „nowo-konserwatyzm,“ ale nowo-humoryzm, w którym chęć błyszczenia wiedzą pokazuje pełnię, podczas gdy sama wiedza pozostaje ciągle w nowiu. P. Jeske-Choiński może mieć jedno tylko prawo do krytyki naukowej: prawo człowieka niezdolnego zająć się jakąkolwiek inną robotą z większem powodzeniem. Jeżeli tak jest, ha, *man muss leben lassen*. Ale czy w takim razie nie lepiej byłoby poprzestać na pokazywaniu języka „typom i ideałom beletrystyki pozytywnej?“ Wprawdzie i tu znajdzie się Chmielowski, który powie: szermierz nowo-konserwatyzmu pisze mnóstwo rzeczy niemających poprostu najmniejszego sensu—w sferze jednak gustu zawsze wyśliznąć się łatwiej. Co innego nauka! Tu sianem, nawet „nowo-konserwatywnem“ wykręcić się trudno.

Jednocześnie z obszernem dziełem Chmielowskiego Jeż wydał swoje *Wspomnienia o Kraszewskim*. Są to tylko wspomnienia i bardzo nieliczne. Obaj pisarze spotkali się z sobą parę razy w rozmaitych warunkach i wzajemnych względem siebie nastrojach. Serdeczniejszy ich stosunek przy końcu był bardzo chłodnym z początku. I nie mogło być inaczej. Dwa tak odmienne umysły nie zdołały się nigdy zbratać, a nawet zrozumieć. Kraszewski był przedewszystkiem i niemal wyłącznie artystą. Zasady, przekonania, teorye społeczno-polityczne odwracały się do niego głównie stroną piękną lub brzydką. Uwielbiał Robespierre'a... ładnie namalowanego, narzekał na rozwój przemysłu, gdy mu kominy fabryczne zadymiały krajobraz i psuły sielski widok wsi polskiej. Kto go inną miarą mierzy, zawsze go nie doceni lub przeceni. Jeż nie próbuje nakreślić charakterystyki tego olbrzyma, zwłaszcza że osobiste wspomnienia dość małej wagi materyału mu nie dostarczają. Ale przytacza kilka szczegółów ciekawych i znamionujących moralną wartość tej eleganckiej szajki, która gospodaruje w Galicyi. Tak np. p. St. hr. Tarnowski, proszony o pomoc w wyzwoleniu Kraszewskiego z więzienia, odpisał, że nie może poradzić dla tej „osoby.“ Gdy Jeż z dr. Laskowskim żądali przysłania deputacyi z Krakowa do Genewy po zwłoki, odpowiedziano im doniesieniem, że tam pamięć wielkiego człowieka zbezczeszczono i nikt przybyć nie śmiał. Tak wszechwładnie i zuchwale panuje stańczyk krakowski! I ci naiwni demokraci galicyjscy wojują z rządem, z kapitałem, z rusinami, kiedy im karku przydeptuje ten tyran!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Różne powodzie. — Miłosierdzie polskie i żydowskie. — Księża wspaniałomyślność i skrupulatność wiernych. — Wzorowy kapłan. — Piękne czyny. — Służba dworska. — Skruszony szlachcic. — Nieustająca sprawa „gęgania.“ — Skargi p. „Lucyny“ i pocieszające szczegóły. — Nowy przemysł.

Jak myślą sięgnąć — woda i woda, nietylko u nas, lecz niemal w całej Europie. Położenie takie silnie się odbiło na naszej prasie; byłem w obawie, aby w ostatnim tygodniu nie rozmokła zupełnie. Ze wszystkich zakątków prowincyi smutne wieści. Rzeczki, rzeczułki, strumyki nawet potulne rozhukały się na dobre. *Kaliszanin* chcąc urozmaicić opis wylewu Prosny, dodaje, że były „epizody obfitujące w komizm, pomimo dramatycznej sytuacyi,“ dlatego, że woda przyszła nagle i zastała mieszkańców nieprzygotowanych. Ciekawym, czyby autor tego opisu dojrzał w sobie komizm, gdyby np. zbudzono go w nocy okrzykiem: belki nad tobą się palą! Dalej w tym samym artykule wiadomość o zalaniu domków na „Piskorzewcu,“ zamieszkałym przez *szumowiny społeczne*. Wczesna pomoc uratowała wszystkich, „chociaż doprawdy wbrew chrześciańskiej zasadzie, lepiej by było, gdyby wielu woda pokryła na zawsze.“ Czy dlatego, żeby na miejsce tych szumowin ściemniałych przez czas, osiadły świeże, ponętniejsze? Woda dała możność miłosierdziu publicznemu objawiać się w rozmaitych formach. Najzwyczajniejsza — koncerty. Utworzyły one odmienną powódź na prowincyi. My, jeśli chcemy pomagać bliźnim, musimy się przytem zabawić. Niejeden płacąc ten podatek, zapomina o celu, a może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Mniejsza o to! Słuchając koncertu Berjota, „Selima i Fatymy“ Rubinsteina, spełnia uczynek miłosierny. Bądźmy więc ślepi na pobudki. Są wszakże miłosierni innego zakroju. W Koninie artystów niema, więc zebrane na prędce składki wyniosły przeszło 100 rs., tj. tyle, ile da niejeden koncert w kilka tygodni później, bo na próby uczestników, urządzenie sali, sprzedanie biletów, obliczenie potem dochodu, potrącenie — trzeba sporo czasu. Zobaczmy, jak żydzi sobie radzą: w tym samym Koninie zebrali oni dla swoich 260 rs., oprócz znacznej ofiary w produktach żywności. Jakże nam trudno wspiąć się na szczebel nawet ich współczucia! Duchowieństwo konińskie także okazało przy sposobności wspaniałomyślność dla wiernych: oto udzieliło wszystkim biedakom na kilka dni... dyspensy! Mogą więc przy uczynności bogatszych wzmocnić swe żołądki, popsute niedostatkiem i regułami kościoła. Ale są i tutaj pesymiści. Wielu nie wierzy w silne ramię pasterzy, którzy na swoją odpowiedzialność przeprowadzić mogą owieczki przez furtę niebieską. Za wiele im mówiono przedtem z kazalnic o lizaniu patelni rozpalonych w piekle, o rożnach dyabelskich, smole, siarce itp. To ich obecnie utrzymało, pomimo pobłażliwości kapłańskiej, przy poście. Stąd korespondent *Kaliszanina* wnosi o wielkim wpływie kościoła na lud, co „przy dobrej woli duchowieństwa i jego pracy zapewniłoby nieobliczone korzyści.“ Nie przeczę, ale w takim razie, jeśli *czarna brać* będzie naśladować wikaryusza w Garwolińskiem, który tak wpłynął na parafian, że ci „całemi wsiami“ uroczyście przyrzekli nie pić wódki. Odtąd 15 lat już upływa, a przysięga niezłamana. Dawniej tam pijaństwo tak było rozwielmożnione, że wielu włościan doprowadziło do zupełnej ruiny. Od owego czasu — jak donosi korespondent *Wieku* — najbardziej zaniedbane gospodarstwa przyszły do stanu kwitnącego, a włościanie z wsi: Miętne, Niecieplin, Leszczyny, Jagodne, Puznów, Wola-Rębkowska i Rębków, mogą służyć za wzór trzeźwości, rządności i moralności. Kolonie tam są różnych obszarów, od 12 do 30 morgów 300-prętowych. Gospodarze chętnie wprowadzają ulepszone nowe narzędzia rolnicze. Ogrody owocowe są prawie przy każdym domu, bardzo wiele sadów założono w ostatnich czasach, szczególnie w Rębkowie. Tylko dotąd pszczelnictwo słabo jeszcze rozwinięte, według systemu starego. Są między nimi bardzo rzutcy. Jan Mikulski z Leszczyn przed dwunastu laty, mając gotówki 500 rs., kupił młyn od niemca Albrechta za 9,500 rs. Zaraz po tranzakcyi wypuścił nabytą własność w kilkoletnią dzierżawę, wziąwszy zapłatę z góry, resztę dopożyczywszy w różnych miejscach, spłacił. Następnie wprowadził ulepszenia i wybudował drugi młyn o dwóch kamieniach. Wszystkie „melioracye“ sam, bez zasięgania rad specyalistów (nawet Korzybskiego) porobił. Człowiek ten, zaledwie słabo umiejący czytać, był w potrzebie budowniczym, cieślą, mechanikiem i młynarzem.

Ci „niewdzięczni,“ „wrogo usposobieni do dworu“ chłopi, miększe mają serca od wosku, gdy doznają przyjacielskiego obchodzenia się z sobą przez „wyższą“ klasę. Franciszek Niedźwiedź, sołtys wsi Zaborza w Lubelskiem, opowiadał p. Witoldowi Tarczy, jak go na jesieni ze szczętem spalono: „Gruntu mam tylko dziesięć morgów, dziś może musiałbym żebrać o kawałek chleba, gdyby nie panowie okoliczni, co mnie poratowali. Dobry dziedzic B. z Czernięcina przyjechał (w nocy o 3-ej) pierwszy na ratunek ze swymi ludźmi, zbiegli się sąsiedzi, ale już wszystko było za późno; chleb mój się palił i trzaskał, aż mi coś w piersiach jęczało. Gorąco z płomieni, a mnie tak zimno trzęsło, jakby siarczysty mróz ściskał!“ P. B. ulitował się nad biedakiem, dał mu żyta na zasiew, wóz, bronę, pług i wszystko, co na razie było najpotrzebniejsze, inni dali paszy, zboża, drzewa. Chłop płakał rzewnemi łzami, mówiąc o tych dobrodziejach. O wydatniejszej uczynności szlachty w Sandomierskiem opowiada *Gazeta radomska*. Jeden z ziemian przeznaczył spory fundusz na pożyczki dla włościan, które co do czasu i procentów są umarzane, podobnie jak w Towarzystwie kredytowem. Każdy korzystający z tego mieszkaniec gminy Łoniów urządza dla swej osady hipotekę dla zabezpieczenia udzielonej mu sumy. „Wpływ moralny — powiada korespondent — nie ogranicza się na ciasnym zakątku, ale rozszerza się na całą ościenną okolicę, budząc zaufanie włościan do dworów, zachęcając je do naśladowania, w miarę możności, świetnego przykładu.“ Tamże w sąsiedniej włości młoda „nadobna“ obywatelka urządziła apteczkę domową, do której zaprasza miejscowe włościanki, aby poznały sposób użycia różnych środków leczniczych, w razie zaś potrzeby udziela je bezinteresownie. Jednocześnie sam „dziedzic“ wspiera radami i pomocą pieniężną potrzebujących. Oddziałało to tak na chłopów, że ci, co przedtem „bez żadnej podstawy worali się w grunty dworskie, po upływie pewnego czasu dobrowolnie bez nacisku przywrócili zakłócone posiadanie.“ Poszkodowany nie spieszył w pierwszej chwili ze skargami do sądu, namawiającym go zaś do tego odpowiadał: pewny jestem, iż sami się upamiętają. „Pokazuje się przeto — mówi korespondent — że potrzeba nam nietylko „więcej światła,“ jak wołał wieszcz niemiecki, ale i „więcej miłości,“ aby stosunki nasze urabiały się na lepsze.“ Nie nowa to droga załatwienia spraw chłopsko-szlacheckich, a jednak najbliższa. Wiedzą o niej dobrze obywatele, ale większość z nich woli manowce. Na takich krętych ścieżkach są obecnie sprawy służby „dworskiej.“ Znowuż *Gaz. radomska* zabiera w tem głos. W Ożarowskiem służący żonaty dostaje rocznie pensyi *szesnaście* rubli, ordynaryi korcy dwanaście, zagon kapusty, sto prętów pod kartofle, utrzymanie krowy, mieszkanie i opał. Zboża 12 korcy dosyć

jest; kartofli ze stu prętów można mniej więcej mieć 25 korcy. Ilość ta po potrąceniu sadzenia nie wystarcza na utrzymanie krowy i choćby jednej sztuki trzody. Zwykle od maja służba dotkliwie uczuwa brak tego produktu. Otóż dla usunięcia złego korespondent wynajduje sposób: z bardzo małym uszczerbkiem możemy zaradzić, dodając każdemu po 50 prętów gruntu pod kartofle. Utrzymując w majątku dwudziestu ludzi, dodamy rocznie morgów trzy, prętów sto nad zwykły przyjęty etat. Przestrzeń ta, jak sądzi projektodawca, jest *prawie żadną* dla gospodarzy, a dla służby *wielką* pomocą w utrzymaniu rodziny. „Jeśli dotychczas o tem nie pomyśleliśmy, to jedynie dla tego, iż za mało może wnikamy w domowe potrzeby pracowników naszych, a chociaż, jak zwykle, w razie choroby staramy się o nich nie zapominać, co zresztą jest naszym świętym obowiązkiem, to za mało wiemy, czy w stanie zdrowia mają czem pokrzepić siły, tak im potrzebne. Byle nie brakło tylko pożywienia, pracują chętnie, wyglądają zdrowo i wesoło. Autor artykułu bije się publicznie w piersi, wyznając, iż w majątku jego służba pobierała dotąd po sto prętów i z wiosną zwykle brak odczuwała. „A dlaczego? Gdyż zapewne sam będąc syt, o głodnym nie myślałem.“ Niebywały objaw skruchy szlacheckiej!

Sprawa „gęgania“ kobiet w Radomiu ogromnej narobiła wrzawy, a jak żywo obeszła ogół tamtejszy, świadczy wymownie szereg artykułów wstępnych o tym przedmiocie, drukowanych w *Gazecie* miejscowej przez kilka tygodni. Pokrzywdzone żarliwie wystąpiły w swej obronie, ostro gromiąc napastników. Pobudziło to jedną z prenumeratorek *Prawdy*, p. Lucynę, do przysłania nam swej skargi. Użala się ona na prześladowanie zwolenniczek książek i poważnego myślenia. Takie kobiety noszą specyalną nazwę: „panny ciężko uczone.“ Od nich wszystko jak od zarazy ucieka. W ich towarzystwie mężczyźni nudzą się śmiertelnie, są wielce niezadowoleni z „manii“ czytania książek naukowych przez płeć piękną. „Przychodzę do kobiety nie po naukę, której mam po uszy, gdy jestem sam z sobą, ale po rozrywkę, zabawę. Ucickam od takich“ — mówi mężczyzna. „Ze elegancki dudek (słowa korespondentki) czuje się skrępowanym wobec tych istot, to rzecz zupełnie słuszna, ale że człowiek *rozwinięty* gardzi tem powinowactwem myśli, to jakaś zagadka psychiczna.“ Nie osłaniajmy tajemniczością zwykłej nędzoty. Owi *rozwinięci* w stronach naszej abonentki muszą być najpospolitszymi mięczakami. „Tak, szanowny autorze artykułów „Na widnokręgu“— woła na końcu p. Lucyna — żyjemy, pracujemy i dążymy do światła, chociaż los *gęgających* o wiele jest weselszym od naszego.“ Cieszy mię niewymownie, że „puch marny“ nabiera wagi, a natomiast duchem i myślą się wzbija na wyżyny zaobłoczne. Chciałbym setki takich wiadomości otrzymywać.

W Mińsku Litewskim od pewnego czasu potężnie i swobodnie rozwija się nowy przemysł — *podpalanie*. Niedawno sąd rozpatrywał tam sprawę Izraela Lichtermana, kupca pierwszej gildyi. Zwrócono uwagę na dziwny fakt: pożar tak szybko się rozszerzał w jego zabudowaniach, że ściany i dach były chyba oblane naftą. Właściciel po raz trzeci stawał już pod zarzutem podpalenia swego domu. Ubezpieczono go na 6,000 rs., podczas gdy według opinii biegłych wart był zaledwie 3,000 rs. Kamienicznik Święcicki zeznał jako świadek, że podsądny proponował mu ubezpieczenie domów za swem pośrednictwem: „zaasekuruj pan, można na tem zrobić wyborny interes.“ Pomimo jawnych poszlak, Lichterman wyszedł zwycięzko. Uniewinniono go...

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Poselstwo brazylijskie w Petersburgu wniosło do Towarzystwa popierania przemysłu i handlu przedstawienie zawiązania stosunków handlowych między Rosyą a Brazylią i wogóle krajami Ameryki południowej. Dla przeprowadzenia w praktyce tego zamiaru poselstwo projektuje przedewszystkiem urządzenie w Brazylii wystawy wyrobów ruskich. Projekt przyjęto przychylnie.

Grunty włościańskie. Biuro korespondencyjne w Petersburgu donosi, że ministeryum spraw wewnętrznych opracowało i rozesłało do opinii ministrów i głównych zarządów projekt środków, obostrzających obecne przepisy w Casarstwie o zapobieganiu przechodzenia gruntów włościańskich od uwłaszczonych do innych. Dane statystyczne tudzież raporty władz dowodzą, że ziemie powyższe często zmieniają posiadaczów, a szczególnie stają się własnością bogatych jednostek w gminie. Z tego powodu zażądano zmiany niektórych paragrafów Najwyższego ukazu z 19 lutego (2 marca) 1861 r.

Zapisy poczynił zmarły tutaj Józef Rajchman: na szpital starozakonnych rs. 1,500, tyleż na szpital dziecięcy imienia małżonków Bersonów i Baumanów, na Osady rolne, szkołę rzemiosł, oraz na mający powstać nowy szpital żydowski. Prócz tego przekazał na własność gminy izraelskiej dom modlitwy przy Nowolipiu. Dochód z tego źródła ma być obrócony na założenie szkoły rzemiosł imienia zapisodawcy. Suma ogólna wynosi podobno 90,000 rs.

W Kijowie powstaje stała agentura rusko-azyatycka celem pozyskania rynków azyatyckich dla zbytu wyrobów krajowych.

Główny zarząd poczt i telegrafów uznał za konieczne zmienić artykuł 248 przepisów i zezwolić na wysyłkę pod jedną banderolą kilku egzemplarzów jednego wydawnictwa, pod adresem pojedynczego abonenta, tj. zamiast paczki grubości trzech werszków, można wysyłać objętość dziesięciu werszków sześciennych.

Katastrofy. Misyonarz amerykański w Yünnan w Chinach opisuje straszne skutki trzęsienia ziemi w tej prowincyi. Zginęło 15,000 ludzi, kilka miast w gruzach. Najbardziej ucierpiał departament Ching-Chan. W So-Chan powierzchnia ziemi zmieniła się zupełnie, Teraz jest tam olbrzymie jezioro, w którem utonęło 10,000 ludzi. Stwierdzono urzędownie, że wskutek wylewu Żółtej rzeki straciło życie przeszło 100,000 ludzi, zaś 1,800,000 okropną cierpi nędzę.

Ministeryum skarbu opracowało nowe przepisy o wnoszeniu akcyzy od gorzelni w majoratach, które są w zastawie i w majątkach ordynackich.

Bez dachu pozostało 7,000 rodzin w Niemczech wskutek wylewów, według sprawozdań urzędowych.

W stanie Missuri w kopalni Röthil nastąpił wybuch, skutkiem którego wielu robotników utraciło życie.

Opera. Masseneta *Manon Lescaut* wystawiono w Teatrze Wielkim.

Pożary. Miasteczko Skole w obwodzie stryjskim zgorzało zupełnie. Kilku ludzi straciło życie. Około 500 rodzin pozostało boz dachu, odzieży i pożywienia.

— W Węgrzech ogromny pożar zniszczył miasto Kikinda. Czterysta rodzin bez dachu. Nędza straszna.

Egzaminy. P. kurator okręgu naukowego zawiadamia, iż egzaminowanie kandydatów z wychowania prywatnego, życzących uzyskać świadectwo urzędowe z całkowitego kursu szkół realnych, w r. b. odbywać się będzie tylko w Łowiczu i Włocławku. W szkole realnej warszawskiej z powodu znacznej liczby uczniów miejscowych stających do egzaminu na patent i wychowańców szkół prywatnych pp. Górskiego i Pankiewicza, dopuszczenie innych dla braku czasu jest niemożliwe.

Testament ks. Wittgensteina unieważniono, a z nim i prawo ks. Hohenlohe do sukcesyi dóbr rozległych na Litwie. Dług bankowy na tych posiadłościach wynosi 5 milionów rubli. Przestrzeń w gub. mińskiej 700,000 dziesięcin ma być sprzedana.

Właścicielom fabryk i zakładów, którzy chcą wysłać na przyszłoroczną wystawę paryską swe wyroby, pozwolono dla stosunków z zarządem wystawy utworzyć osobny komitet, ale zupełnie prywatny. Działać on będzie przez wyborowych pełnomocników, jako pośredników między wystawcami z Rosyi a komisarzem wystawy.

W Żytomierzu teatr wystawił po rusku „Halkę“ z powodzeniem.

W Monte-Carlo w ciągu roku ubiegłego 49 osób pozbawiło się życia wskutek strat poniesionych w grze hazardownej.

Konkurs. Warszawska „Lutnia“ ogłosiła konkurs na utwór chórowy w formie pieśni. Termin nadsyłania partyturek upływa z d. 15 kwietnia.

Opłaty stemplowe. Zmieniając i uzupełniając poprzednie rozporządzenie co do zwiększenia opłaty stempla, postanowiono: Akcye, udziały, obligacye, listy zastawne, papiery procentowe zagraniczne podlegają — ruskie w chwili emisyi, a zagraniczne w chwili wprowadzenia ich do Rosyi — opłacie stemplowej w stosunku od 15 kop. do 10 rubli odpowiednio do wartości papieru. Przy odbiorze nowych arkuszy kuponów wnosi się zwykłą opłatę stemplową po 15 kop. od numeru do wysokości ceny 15 rs., a po 80 kop. do numeru wyższej ceny. Towarzystwa kolei żelaznych, na których ciążą długi z tytułu gwarancyi, powinny wydatki na opłatę stempla od nowych arkuszy kuponów obligacyjnych rozłożyć na taką liczbę lat, na jaką wydawane są arkusze i wnosić opłatę stempla ratami z procentem w równych częściach z dochodów eksploatacyi w przeciągu wskazanego czasu.

Paszporty. Według projektowanych nowych przepisów o paszportach, będą wydawane bezpłatnie świadectwa na wyjazd wdowom po oficerach, nieletnim sierotom płci żeńskiej, wdowom po urzędnikach niezdolnym do pracy, pobierającym wsparcia z komitetu opieki nad zasłużonymi urzędnikami, dymisyonowanymi żołnierzami, pobierającym wsparcia ze skarbu i żonom żołnierzy, osobom pozostającym w służbie czynnej.

Komunikacya przerwana na wszystkich kolejach, dochodzących do Warszawy. Pociągi chodzą prawidłowo tylko na jednej części drogi Nadwiślańskiej do Kowla. Na Terespolskiej pod Białą most zupełnie zerwany. Na tejże linii między Nowomińskiem a Mrozami podmyty drugi most, trzeci między Kotuniem a Siedlcami. Robotnikom proponowano wysokie wynagrodzenie w czasie świąt. Według przypuszczalnych obliczeń, naprawa mostów i toru pochłonie około 100,000 rs., nadto podczas przerwy komunikacyi kolej straciła około 400,000 rs. Na Nadwiślańskiej do Mławy woda uszkodziła plant pod Nowym Dworem, zalawszy miasto. Na Bydgoskiej most i plant bardzo uszkodzone. Przerwa w ruchu. Pomiędzy Skierniewicami i Aleksandrowem pociągi towarowe wcale nie chodzą, osobowe — z przesiadaniem. Na Petersburskiej w odległości trzech wiorst od stacyi Kuźnica na rzece Łososinie zapadł się most żelazny na pół godziny przed wyjściem pociągu pospiesznego. Podróżni przepływają łódkami. Na kolei Siedlecko-Małkińskiej Bug zalał stacyę Trabinki, skutkiem czego ruch na linii był wstrzymany. Na Chełmsko-Brzeskiej, z powodu uszkodzenia mostu pod Włodawą, ruch ustał. Na Moskiewsko-Brzeskiej między stacyami Brześć i Liniewo woda podmyła plant na 15 sążni. Dotąd przeprawa odbywa się promem. Na kolei Poleskiej z powodu podmycia plantu pod Pińskiem, komunikacya przerwana. Wypadki powyższe zniewoliły inspektora rządowego nad kolejami do zarządzenia rewizyi fundamentów i przyczółków pod mostami na wszystkich drogach całego kraju w czasie jaknajkrótszym.

Wyzysk. Z powodu przerwania ruchu na drodze Terespolskiej, handlarze-monopoliści podnieśli cenę wołów stepowych o 12 rs. na sztuce. Tymczasem partye wołów nie były wstrzymane, lecz przez Kowel przybyły na czas do Warszawy.

Jarmark wełniany w Warszawie otwarty będzie 12 czerwca.

Komitet dla powodzian zawiązał się w Kaliszu z polecenia miejscowego gubernatora pod przewodnictwem prezydenta miasta, celem zbierania i podziału ofiar pomiędzy dotkniętych klęską.

W kopalniach w okolicach Końskich szyby zalane są zupełnie wodą.

Przemysł. *Dzien. łódzki* donosi, iż jeden z fabrykantów wełnianych w Łodzi otrzymał niedawno propozycyę z Bukaresztu i Konstantynopola zawiązania stosunków handlowych z temi miastami.

Klawiharfa, Pod tą nazwą p. Dietz w Brukseli wynalazł nowy instrument muzyczny. Jest to rodzaj harfy z klawiaturą i pedałami.

Na wystawie fotograficznej w Petersburgu pierwszy medal otrzymał p. Konrad Brandel z Warszawy za zdjęcia momentalne i dokonywane z balonu wojskowego w czasie wielkich manewrów pod Brześciem.

Zmarli. Bolesław Czerwieński, poeta i powieściopisarz we Lwowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Z. Pińczuk. W wierszach Pańskich jest dużo wdzięku i staranności artystycznej, z treści wszakże nie nadają się one do naszego pisma. Niektóre, ludowe, byłyby właściwe dla *Gazety świątecznej,* inne — dla jakiegoś pisma poświęconego rodzinie. Zachowujemy je.

S. W. S. Cała ta klątwa rzucona na świat zawiera zbyt wiele szumnego pustosłowia i wyrażeń wątpliwego znaczenia. Co to są np. „zmysły nikłe,“ „skorupy światłości,“ „gad, co wyje“ itp.? Samo pojęcie „świat,“ który tyle zbrodni popełnia, jest nieokreślone. Z tej próby niepodobna wywnioskować, czy Pan ma talent.

Rob. Da. Wierzymy — ale gdzie poezya?

P. Wollenb. 1) W każdym razie badania te są bardzo nieliczne; 2) maniak, t. z. przez Lombroza *mattoida.*

P. J. Ł. w T. Nie dla nas. Rękopis zachowujemy do zwrotu.

P. Gabr. Pł. Jak poprzednie: w szczegółach ładny, w całości niejasny.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

OFIARY.

Do rozporządzenia Redakcyi. Bezimiennie w rocznicę śmierci matki rs. 1. — U. N. D. rs. 20.

Na szkołę rzemieślniczą. Jabłkowski rs. 1 k. 50.

Dla powodzian. H. T. kop. 20. — Kółko żegnające kolegę z Zawiercia rs. 10. — Bezimiennie kop. 75. — Z Kijowa: K. R. rs. 2, U. R. rs. 1 k. 24, J. R. rs. 1, G. M. k. 30, T. R. k. 13, E. R. rs. 1, S. R. rs. 1, W. R. rs. 1, W. K. k. 5, E. P. k. 23, J. O. k. 5, S. M. rs. 1, L. J. k. 25, J. L. k. 50, S. J. k. 25, H. G. rs. 2 — razem rs. 12.

Sprostowanie. W zeszłym numerze w artykule „Odczyty,“ wydrukowano błędnie nazwiska. Zamiast Puy Legol winno być *Puy Ségur,* zam. Noiret — *Noiset,* zam. Bordeaux — *Bordeux,* zam. Boerhauen — *Boerhave.*

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Марта 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.